rok 1 — Warszawa, dnia 15 września 1932 r. — nr. 12

Z — sztuka kultura sprawy społeczne

zet — 12 — cena 50 gr. — dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

Alarm w Tebach

Ciężko jest siać na ugorze. Słońce miota z nieba żar, jak z pieca, powietrze jest suche i milczące, żaden głos nie rozcina nieznośnej ciszy. Pod nogami ziemia, wypalona i twarda, rozorana w długie zagony pyłu i zeschniętego błota, zieje jałowym oddechem. Idzie się powoli, z wysiłkiem — w skroniach dzwonią pulsy, żar obezwładnia, a płachta obciążona ziarnem wydaje się brzemieniem nie do zniesienia. Iskrzące ziarna przelatują lękliwie przez powietrze i zdaje się, że gasną beznadziejnie w czarnej kurzawie z sykiem bólu.

Taki to ugór rozpostarł się pomiędzy Karpatami a Bałtykiem. Nazywa się — Polska.

Dzień dzisiejszy jest jak brudna skorupa jaja, której nie zdołał jeszcze przebić dziób pisklęcia. W tej ciasnej, nieużytej skorupie dusi się rozum i wola, zamiera heroizm moralny i wzniosłość. Ucisk i brak tchu, największa męczarnia pod słońcem stała się udziałem wszystkich sił twórczych jakie prą dzisiaj w Polsce ku nowej, pełniejszej rzeczywistości.

Chyba się już coś naprawdę przesila w Europie i w Polsce, chyba kryzys ducha doszedł już do najwyższego napięcia, skoro nastąpił moment takiego impasu, takiego przeraźliwego bezwładu i apatji.

Gdy dwaj mocują się, nastają długie chwile równowagi sił, gdy pot występuje na czoła, oczy robią się szklane z wysiłku, muskuły i ścięgna napinają się, jak powrozy, — a jednak całość ma pozór nieruchomej, skamieniałej bryły.

Taka równowaga sił wytworzyła się pomiędzy ideją i duchem Polski, prącemi ku wyzwoleniu, a całą potworną masą instynktów wstecznych i złych, jakie nagromadziły się w naszym organizmie społecznym w ciągu ostatniego półwiecza.

Te wielkie zapasy atletyczne odbywają się w tak głuchej ciszy, tak niedostrzegalnie, że nie emocjonują nawet nikogo. Ludzie łażą po ulicach, kochają się, śpią i jedzą, biegną do kina lub do biura, wylegują się na gorącej plaży — i nie przychodzi im na myśl, że w tej rubasznej, wypłowiałej scenerji gra się straszny, historyczny dramat ducha i genjuszu polskiego. Że kości są rzucone. Że dylemat założył się już i szepce przez zaciśnięte zęby: „albo — albo".

Albo zatrjumfuje prawda dziejowa narodu i cała jego moc twórcza, cała potęga jego myśli i czynu runie w nowe łożysko, pociągając za sobą narody europejskie ku doskonalszej erze — albo też Polska zapadnie w gnuśny, obojętny sen, stając się mrowiskiem karzełków, gmerających się bezmyślnie na swojem zanieczyszczonem podwórku.

Ta druga możliwość nie jest oczywiście wykluczona. Ręce opadają, gdy się patrzy na t. zw. elitę intelektualną, na sfery przodujące rzekomo w życiu kulturalnem i duchowem narodu polskiego. Wczoraj jeszcze można było mieć jakieś nadzieje. W pierwszych miesiącach bieżącego roku wszczynał się wielce obiecujący ruch, zapanowało ożywienie w świecie literackim, powstawały nowe pisma w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, zadzierzgały się wielkie walki, doniosłe spory. Ukazywały się artykuły — nawet w dziennikach — świadczące, że budzi się w krytykach, literatach, publicystach świadomość patosu i decydującej wagi chwili dziejowej.

Wzmagał się nastrój przełomu. W „Gazecie Literackiej", w „Tygodniku Ilustrowanym", w „Drodze", ba, nawet w „Świecie" i w „Wiadomościach Literackich" pisano o zmierzchu cywilizacji materjalnej, o potrzebie rewolty duchowej i nowej koncepcji dziejów. Stanisław Ignacy Witkiewicz, wygłosił wtedy swój znamienny odczyt (coprawda pominięty przez interpelowanych głuchem milczeniem), Leon Chwistek bąkał o „centrum nauki i sztuki na ziemiach polskich", M. Wolert wołał o wielką inicjatywę pisarzy i intelektualistów.

To poruszenie umysłów, to naładowanie elektryczne atmosfery naszego życia kulturalnego obiecywało wiele. W powietrzu wyczuwało się bliskość ważnych przemian, ludzie zainteresowali się czemś więcej, niż redukcją poborów i bridżem. Ten i ów zaczął się orjentować (o, dziwo!), że świat nie kończy się na Ziemiańskiej i dancingu w Oazie, że rzeczywistość ma jakiś wyższy sens, którego warto szukać, że ludzkość i historja to splot żywych, nieodpartych problemów, które trzeba podjąć i rozwiązać.

Ale te słabe odruchy budzenia się człowieczeństwa w duszach istot nadwiślańskich nie trwały długo. Dzisiaj nożyce znowu się rozwarły. O wiele ważniejsza od dysproporcji cen płodów rolniczych i przemysłowych, dysproporcja między obowiązkiem historycznym Polski, a tępą biernością jej obywateli — odsłoniła się z przeraźliwą jasnością.

Strach i wstyd ogarnia, gdy się chodzi wśród tłumu marjonetek i masek ludzkich, w poszukiwaniu jednej chociażby *twarzy człowieka*. Paniczne pytania cisną się na usta: O czem ci ludzie myślą? Czy i jak myślą? Czem się interesują? Jakie są ich ideały? Co sądzą o świecie, o losach ludzkości, o życiu? Czy naprawdę są to tylko lalki poruszane sprężyną instynktów, przypadkowych okoliczności, pożądań zmysłowych?

To niemożliwe. Muszą wśród nich być ludzie. I są napewno. Tylko jak ich szukać?! Chyba zejść w dół ku zwykłym, przeciętnym śmiertelnikom, z Tarnowa, Radomia, Pińska, omijając ten nadęty, pretensjonalny świat „elity", w którym niemoc rozumu kojarzy się z głupim, odrażającym cynizmem intelektualnym.

Oto, gdzie spojrzysz, wygodnictwo i trefnisiostwo, tani sceptycyzm, pozujący na objektywizm naukowy. Gdzie spojrzysz — przemyka się pod murami tchórzostwo umysłowe i moralne. Brak prymitywnego przygotowania filozoficznego, komiczny indyferentyzm religijny, nawet u rzekomych świętoszków, efekciarstwo snobizm w sztuce. Duch bussinesu panuje nadal na pseudo-Parnasie poskamandrowym. Organ tej pasożytującej na społeczeństwie polskiem literatury „Wiadomości Literackie" staczają się coraz niżej, schlebiając cynicznie gustom przeciętności.

Najgorszy zaś jest cynizm. Cynizm maluczkich móżdżków, ale zato przedsiębiorczych łokci i obrotnych języków. Cynizm, który broni się rozpaczliwie przed wielkością, przed myśleniem, przed odpowiedzialnością społeczną, przed imperatywem moralnym. Cynizm przymrużonych oczu, wzgardliwych uśmieszków, plugawych żarcików, w których atmosferze przygasa wzniosłość, spełznąć musi heroizm dobra, wycofać się czysty duch prawdy.

W tej djabelskiej szermierce kpiarswa i cynizmu przoduje Polsce Warszawa. Tu się zakorzenił i rozpuchł ten obrzydliwy grzyb, z którym nie sposób walczyć, a można go tylko rozdeptać.

Difficile est satiram non scribere. Jeśli pewien głośny satyryk nazwał Kraków Nowemi Atenami, to Warszawa dzisiejsza powinna ukazać się jego oczom, jako Nowe Teby. Teby, gnuśne, i zleniwiałe duchem. Teby napełnione po brzegi sobkostwem i groszoróbstwem, bezideowością i płytkością umysłową. Teby, na zewnątrz błyszczące splendorem sztuk i nauk, łysinami akademików literatury, przesytem kultury, synekur i zaszczytów — wewnątrz zgniłe, i strupieszałe, bez serc i bez ducha. Trzebaby zaiste jakiejś nowej wyprawy krzyżowej, aby wedrzeć się na te mury, przez które udeptał sobie drogę chyba tylko osioł, objuczony złotem, przysłowiowy osioł króla Filipa.

„Bądźcie albo zimni, albo gorący — mówi Pan: — przeto żeście letni, wyrzucę was z ust moich".

Ta letnia woda, to właśnie dzień dzisiejszy. Jak wstrząsnąć nim, jak wlać ukrop w to śpiące mrowisko, jak poruszyć to bagno, stęchłe i ciepłe, pełne ciał ułożonych w niem wygodnie? Jak tchnąć ducha we wyschłe mózgi, we faryzejskie pobielane groby"? Chyba kołatać pięściami we drzwi, kłuć ostrem narzędziem, tarmosić za brody.

Chyba krzyczeć!

— — — — — — — —

Ciężko jest siać na ugorze. Słońce miota z nieba żar — jak z pieca, powietrze jest suche i milczące, żaden głos nie przerywa nieznośnej ciszy. Pod nogami ziemia, wypalona i twarda, rozorana w długie zagony pyłu i zeschniętego błota, zieje jałowym oddechem. Idzie się powoli, z wysiłkiem — w skroniach dzwonią pulsy, żar obezwładnia, a płachta obciążona ziarnem wydaje się brzemieniem nie do zniesienia. Iskrzące ziarna przelatują lękliwie przez powietrze, i zdaje się, że gasną beznadziejnie w czarnej kurzawie, syczące z bólu.

Taki to ugór rozpostarł się dziś pomiędzy Karpatami a Bałtykiem.

Nazywa się... Polska.

Zasłona dymowa

Kocioł czarownic:

Nareszcie sensacja, która chwyciła. „Inkarnowany chochoł" z ul. Sienkiewicza zaciera ręce. Kocioł prasowy napełnił się wrzątkiem, w którym pływają insynuacje i plotki, przyczynki i groźne „dementi", głowa Mickiewicza, tłusta kaczka, legjon żydowski i różne „teczki zielone". Z kotła buchają dymy, tumaniąc biedną, oczadziałą publiczność i przesłaniając życie intelektualne kraju gryzącym oparem bluffu. Tymczasem ten, co podłożył ogień pod całe to kotłowisko obserwuje z zadowoleniem wywołany przez siebie zamęt.

Stan faktyczny:

Boy zaczął, Szpotański zareplikował. Boy dźgnął sztychem w obłudny fałsz naukowy, wskazując rzekome ślady, prowadzące do bibljoteki medyckiej i Muzeum Czartoryskich. Pawlikowski i Kukiel zaprzeczyli, rzucając wiele cierpkich słów pod adresem „plotkarza literackiego". W społeczeństwie zgorszenie, pomieszane z niezdrowem podnieceniem. Trucizna żydzi, tajne dokumenty... Było, czy nie było? Zabierają głos dzienniki, polemika zatacza coraz szersze kręgi. Opinje rozmaite: Kaden-Bandrowski jest zdania, że skandal nie zaszkodzi „pieśni", a polemika choć nieistotna, zwiększy zainteresowanie wieszczem; Piasecki (w „ABC") narzeka na lekkoduszność Boya, któremu idzie tylko o epatowanie nerwów grzebaniem w detalach biograficznych i to jaknajbardziej drastycznych: Peiper bieży w sukurs Boyowi, stwierdzając prawdopodobieństwo sztucznego urabiania „legend mickiewiczowskich" w widokach pewnych obozów politycznych. Namiętności są poruszone, fala kolportowanych plotek wciąż rośnie. A ludzie rwą się do pióra, bo oto trafił się temat, oto publiczność kupuje i czyta, a redakcje drukują i p[illegible] [illegible]czącą monetą

Resumé skandalu:

Jak dotąd — żadnych pozytywnych danych, żadnych dokumentów. Dobro i prawda zawsze wypływają na wierzch, ale ciemne sprawki to nie oliwa. Po bombie sensacyjnej napewno nie zostanie wkrótce żaden ślad prócz przykrej woni. Zato nazwisko Boya rozkrzyczały megafony wszystkich dzienników. Zato „bronzowa" twarz Mickiewicza tonie w oparach duszącego skandalu, w stęchłym tragikomizmie przedśmiertnego menu, w powodzi brzydkich podejrzeń i domysłów. Rozdmuchane zarzewie podrażnień rasowych. Przykre poczucie ponurej zbrodni, przyklejonej gdzieś do samego dna rzeczywistości polskiej. Na życiu duchowem dzisiejszej Polski nowa skaza, nowe zaćmienie umysłów, nowa degrengolada zainteresowań intelektualnych.

Refleksje:

Ale **prawda** wszystko usprawiedliwia. Tam gdzie się toczy bój o prawdę, niechaj lecą wióry, niech idą na ofiarę największe nawet wartości, najpiękniejsze tradycyjne ideały... Gdybyż tu szło o prawdę? — Ale imienia prawdy nie trzeba wzywać nadaremno; chyba że intencje są **absolutnie czyste**, niczem prócz prawdy nieuwarunkowane. W danym wypadku nie zdaje nam się, by tak było. Intencje wyglądają na skażone motywem plotki, handlu reklamy. A gdyby nawet było inaczej, to tego rodzaju walka o prawdę, nie przynosi jej chwały. Imię Prawdy, zasady najwznioślejszej, przywodzącej na myśl najwyższe problemy rozumu — włoczono w kałużę spraw małych, zakamarkowych, brudnych. Kto chce prawdy, niech pnie się myślą ku jej szczytom, a nie węchem w ciemne szczeliny, gdzie zło i brzydota zmuszały ją asystować przy swoich niecnych sprawkach. Tak czy inaczej, zawsze wyjdzie ona stamtąd zbrukana.

Zgniłe owoce:

W danym wypadku, jakakolwiek prawda da zawsze jednakowo zgniłe owoce. Albo podejrzenia okażą się bezpodstawne i wyjdzie na jaw raz jeszcze małość ludzka i plotkarska atmosfera historji — albo też Mickiewicz został istotnie otruty, świadomość czego rzuci czarny cień na duszę społeczeństwa polskiego. Gdyby to drugie — to cóż wykryjemy: Albo chorobę ducha Mickiewicza, mieszanie się w sprawy, które go naprawdę skalały, co odwróci serce Polski nietylko odeń, ale i od jego dzieła — albo imię jego pozostanie czyste, lecz rozpęta się walka, kto zabił: Polacy, czy Żydzi? Nowe pole do rozdrażnień, wybuchów nienawiści i kalumnij.

Błędne ognie:

Poco to wszystko? Kiedyś może ludzkość zrozumie swą solidarną odpowiedzialność za krwawe pasmo zbrodni, snujące się tajemniczo przez dzieje. Wówczas może sam los wydobędzie z ukrycia różne świadectwa skrytobójczej złości zwierzęcia ludzkiego; wtedy, gdy będzie to sprawą sumienia, a nie sensacji. Dziś jeden tylko efekt z tej hałaśliwej efemerydy: Błędne ogniki pseudo-prawd zmylą instynkt i ducha narodu, odwracając uwagę od prawdy **prawdziwej**. Gdy wielki czas żąda maksymalnego wysiłku genjuszu polskiego, gdy historja pcha nas ku rozwiązywaniu najżywotniejszych dla człowieka problemów — poco tumanić intelekt, szarpać nerwy i rozluźniać wolę społeczeństwa, ciągnąc je na manowce bezpłodnych sensacyj. Nie wierzcie, że w ten sposób zainteresuje się masy Mickiewiczem i jego dziełem; będzie to ten sam rodzaj zainteresowania, co w sprawie upiora z Düsseldorfu, lub Gorgonowej.

Doprawdy, robi to wrażenie, jakby chciano oddzielić naród ciemną zasłoną dymową od jego świetnych tradycyj i wielkich celów jutra, od dziejowej rozterki świata, od idei, od czynu. Afera trucicielska, wszczęta wokoło zgonu Mickiewicza jest tylko szczegółem, zlokalizowanym ogniem. Ale niechybnie wykorzystają ją ci, którzy pasożytując na duchu Polski współczesnej, unosząc się nad jej prometeizmem, jak sęp, który wyżera „nie serca, lecz mózgi" — czepiają się kurczowo wszystkiego, co może ich upadające wpływy w literaturze podtrzymać.

O prochy Chopina

Już rozpoczęły się „Dni Chopinowskie", które trwać będą od 10 września do 17 października b. r. Program tego wielkiego hołdu narodu polskiego pamięci genjusza jest wszechstronny i bogaty. Koncerty wszystkich utworów chopinowskich, odczyty, uroczyste pochody, akademje, następować będą jedne po drugich. Ale „Komitet Dni Chopinowskich" nie chce na tem poprzestać. Gromadzi fundusze na sprowadzenie zwłok Chopina do kraju.

Inicjatywa ta odbiła się głośniejszem jeszcze echem we Francji niż w Polsce. Francuska opinja publiczna jest podobno rozżalona i zaniepokojona. Na łamach paryskiego „Figaro" zabiera głos J. L. Vandoroyer i zwraca się do Polski z żarliwym apelem. „Błagajmy szlachetną Polskę, by nie zabierała nam Chopina! Duch jego należy do Polski, zostawcie nam przynajmniej martwe prochy". Francuski publicysta przypomina więzy, łączące Francję i Polskę, stwierdzając, że groby wielkich ludzi są najszczytniejszym symbolem takiej duchowej łączności.

Warto zamyśleć się na tem. Nie idzie tu o sentymentalny ukłon w stronę Francji. Lecz czy przewiezienie zwłok jest naprawdę momentem istotnym, gdy chodzi o kult wartości wiecznych, niematerjalnych, hiperfizycznych? My, Polacy, lubujemy się w patosie pogrzebowym, we funebralnej pompie. Po dniach uniesień, zapadamy w tem głębszą śpiączkę. Czy nie lepiej zostawić prochy ziemi, w której spoczęły, a uczcić w duchu i pięknie treść wiecznie żywą, dzieło twórcze Fryderyka Chopina?

Historja i Prawo Postępu

I. WARUNKI DZIEJÓW

Zwierzęta nie mają dziejów. Może je mieć tylko istota rozumna. Dlaczego? Bo zwierzę jest tworem zakończonym, o określonych funkcjach i przeznaczeniu: człowiek zaś, jako obdarzony rozumem, jest istotą nieskończoną, o przeznaczeniach nieokreślonych i nieznanych.

Powiedziałem: jako obdarzony rozumem: rozum bowiem jest w człowieku źródłem jego twórczego nienasycenia, dzięki rozumowi wydostaje się człowiek poza krąg warunków, jakie determinują bezapelacyjnie byt zwierzęcia. To przekraczanie warunków odbywa się dzięki zdolności rozumu do pytania o same te warunki, a tem samem do umieszczenia się ponad niemi, w pozycji poznawczej. Ta funkcja rozumu ludzkiego jest nie czem innem, jak pytaniem o przyczyny i o cele zjawisk, o sens **rzeczywistości**, czyli — ponieważ człowiek sam jest rzeczywistością — pytanie o samego siebie.

To wieczne, nienasycone pytanie sprawia, że człowiek wymija wciąż zastane i stworzone przez siebie sytuacje, dzieła, formy bytu, szukając dla nich i dla swego własnego istnienia — coraz wyższego uzasadnienia i coraz wyższego celu. Świadczy to o ustawicznem dążeniu rozumu ku jakiejś wyższej rzeczywistości, dziś jeszcze nieznanej, któraby go wreszcie zadowoliła, jako jego własna i zgodna z jego istotą.

Możnaby zatem postawić hipotezę, że człowiek nie ma jeszcze własnego bytu, jest „w nieswojej skórze". Per analogiam: wyobraźmy sobie istotę zwierzęcą, psychikę lwa, lub psa, umieszczoną w organizmie roślinnym, w drzewie. Przez takie sprowadzenie do jedności dwu zupełnie odmiennych form bytu, powstałoby w tej cudacznej, pokracznej dwu-istocie rozpaczliwe dążenie do wyzwolenia się, do osiągnięcia innej, wyższej rzeczywistości, właściwej lwu, czy psu, rzeczywistości bardziej zróżniczkowanej, biegającej, polującej, poruszanej uczuciami rozkoszy lub gniewu.

Człowiek dzisiejszy, taki jaki nam jest dany wokół nas i w nas samych, byłby tedy istotą nieskoordynowaną, złożoną z dwu odmiennych natur, złączonych sztucznie i przejściowo. Te natury to: 1) właściwa istota ludzka, rozum (wiedza), nasze Ja, którego atrybutami są: wolność, nieskończoność, samorzutność, władza stwórcza — oraz 2) dodany do tej istoty, jako miejsce jej istnienia organizm obcy, byt roślinno - zwierzęcy, nasze Nie - Ja.

Przez takie dziwaczne skojarzenie, człowiek staje się jedyną istotą na ziemi, niezadowoloną ze swego bytu, miotaną sprzecznemi dążnościami, (dążnościami, zwierzęcia i rozumu — ślepej Przyrody i świadomej Wolności), istotą cierpiącą, pełną porywów, nieokreślonych idej, pytań bez odpowiedzi. Ta nowa, niepodobna do innych istota, jest sama dla siebie wieczystą zagadką, żywym problematem, z którym skuta jest na całe życie, który wypełnia zaborczo całą jej treść psychiczną.

Człowiek, każdy z osobna, a więc i cała ludzkość składająca się z mnóstwa takich istot — noszą tedy w sobie problemat i postulat wyższej rzeczywistości, którą czują w sobie in potentia, ale z którą ich obecny byt stanowi sprzeczność niesprzymierzalną. Sięgają po tę problematyczną rzeczywistość bez przerwy, ale i bez skutku — jak Herkules po złote jabłka Hesperyd. W ten sposób powstaje na ziemi nowy tryb życia, niepodobny do trybów życia roślin i zwierząt, tryb niejako **dążnościowy**, rewolucyjny, głodny wieczystej metamorfozy, stale przekraczający sam siebie, z powodu założonej w nim przeciwstawności (antynomji) pomiędzy tem **co jest** a tem **co być powinno**. Jest to życie ambitne, poszukujące, prowizoryczne, uważające każdy swój stan teraźniejszy za etap tylko, krótki przystanek na drodze ku jakiejś najdalszej, niedoścignionej, ale wciąż ściganej przystani. Jest to ekspanzja, rozrost, rozgałęzianie się zarówno wewnątrz jak na zewnątrz. Ten koczowniczy tryb życia cechuje wieczne niezadowolenie z dotychczasowych warunków bytu, ze stanu posiadania, z bogactw, zaszczytów i potęgi, z nabytej wiedzy, z osiągniętej czystości moralnej, z wytworzonych przez siebie form współżycia społecznego. To nienasycenie i niezaspokojenie widzimy zarówno u wielkich bogaczy, jak u świętych, zarówno u genjalnych wodzów, jak u uczonych i artystów. Wszyscy oni dążą ku jakiejś możliwie najwyższej rzeczywistości, pchani nieprzepartą tęsknotą ku wielkości, nieskończonemu wzrostowi potędze, nieograniczonej wolności ducha.

(Uwaga na marginesie: Tu znajdujemy wyjaśnienie ciekawego zjawiska czci i nienawiści, odczuwanej przez tłum w stosunku do genjuszów. Pochodzą one stąd, że 1) ludzkość przeczuwa w nich wyższe natężenie rzeczywistości, czyniące ich drogowskazem i wzorem, 2) ale indywidualnie albo im zazdrości, albo się ich boi, jako widomych inkarnacyj tego problematu, który nosi w sobie i od którego radaby się w swem zwierzęcem lenistwie uchylić).

Mit o rozdwojeniu osobowości — przestaje być mitem. Człowiek — to z jednej strony **zwierzę** z jego prymitywnemi żądzami i dzikiemi instynktami, z gnuśną wegetatywnością roślin i nieświadomem okrucieństwem krwiożerczego czworonoga — a z drugiej strony **duch**, rozum samorzutny, z jego zasadami i celami transcendentnemi, z jego prawnością i wolnością nieskończoną, z jego mocowładnością stwórczą, konstruktywną.

Przyczyna takiej właśnie a nie innej struktury człowieka stanowi zagadkę, której rozwiązanie kusi się każda filozofja i religja. Narazie nie należy to do rzeczy. Chodzi o samo stwierdzenie gołego faktu **dwoistości człowieka.**

Tak więc, rzeczywistością człowieka — w jego obecnem stadjum — jest **stosunek** między Ja i Nie-Ja ludzkiem, czyli między rozumem samym w sobie a ciałem zwierzęcem — między wiedzą absolutną, a bytem względnym, niedoskonałym. Ustosunkowanie to nosi człowiek w sobie przez cały ciąg swego życia na ziemi, od urodzenia aż do śmierci. Gdy zanalizujemy ten elementarny ustrój człowieka, okaże się, że można w nim odróżnić tylko trzy możliwe stany: 1) sam byt zwierzęco - roślinny, fizyczny, czyli samo Nie-Ja; 2) sam byt duchowy, rozumowy, czyli czyste Ja; 3) byt dwoisty, duchowo - fizyczny, czyli stosunek między Ja a Nie-Ja.

Gdybyśmy potrafili zabić w sobie samorzutność rozumu, nasze Ja świadome, i powrócili do bytu czysto fizycznego, zwierzęco - roślinnego, przestalibyśmy tem samem być ludźmi i żywy problemat czystego Ja (Boga - Człowieka), jakim jest każdy z nas, zniknąłby z powierzchni ziemi. Byłby to t. zw. **upadek człowieka.** W tym kierunku prowadzi ludzkość czysty, konsekwentnie pojęty bolszewizm, jeżeli pominiemy jego elementy dekoracyjne i jego powłokę polityczno - gospodarczą.

Gdybyśmy natomiast zdołali rozwinąć w sobie samorzutność rozumu absolutnego, aż do realizacji czystego Ja, w całej jego nieskończoności i sile stwórczej, osiągając **byt wiedzy** sam w sobie, czyli byt właściwy duchowi, z jego zasadami i celami transcendentnemi — rozwiązalibyśmy bez reszty problemat naszego człowieczeństwa, zaspakajając nasze wieczyste dążenie. Byłoby to **odrodzenie duchowe,** albo **stworzenie się własne** Człowieka. W tym kierunku prowadzi ludzkość czysty, głęboko pojęty chrystjanizm, jako doktryna Słowa albo Rozumu Absolutnego.

Problem pierwszy tonie w mrokach przeszłości, jako mit o upadku człowieka, przewijający się przez wszystkie religje, a najdoskonalej ujęty w judaizmie. Problem drugi błyszczy jak gwiazda przewodnia w mglistej, dalekiej przyszłości, jako mit o nieśmiertelności, również zawarty w religjach, ale najdoskonalej wyłożony w chrystjanizmie. Dlatego to przez te dwie religje wyrosłe z jednego korzenia, przechodzi pion orjentacyjny całego dziejowego rozwoju ludzkości.

W skrócie rzec można, że czyste Nie-Ja **było,** a czyste Ja **będzie.** Ale jakiż jest stan obecny człowieka? Otóż jest to właśnie ten stan trzeci, określony powyżej, jako **stosunek między Ja i Nie-Ja**, czyli byt dwoisty: zwierzęco - duchowy. Ten stosunek, to współistnienie w każdem indywiduum ludzkiem dwu przeciwnych zasad, determinuje rzeczywistość naszą jako stan sporu, walki pomiędzy wolnym rozumem, a niewolnem, popychanem przez okoliczności, popędy i dzikie skłonności zwierzęciem. Zakłada się przez to w samym rdzeniu duszy ludzkiej **sumienie**, sąd czuwającego rozumu, problemat wyzwolenia człowieka (excusez le mot) ze skóry zwierzęcej. Warunkiem jego powstania jest odróżnianie **zła**, czyli stanu czystego Nie-Ja od **dobra**, czyli stanu czystego Ja w człowieku. Inaczej mówiąc jest to rozróżnienie między tem co **jest**, a tem co być **powinno**.

To podstawowe rozróżnienie ustanawia w nas w całej pełni to, co nazywamy **moralnością**. Człowiek jest istotą moralną, t. zn. polem walki między dobrem a złem, między bytem ludzkim a zwierzęcym. Moralność — to proces wyzwalania się człowieka z więzów fizycznych. Proces ten posługuje się niezliczonemi sposobami i narzędziami, przedewszystkiem zaś sądem rozumu nad samym sobą. Sąd ten wytwarza system norm etycznych, dzielących się na 1) wewnętrzne, subjektywne, podawane przez Kościół (nakazy religijne) i 2) zewnętrzne, objektywne, ustanawiane przez Państwo (prawo publiczne).

Całokształt tego sporu moralnego, toczonego w ciągu bardzo długiego **czasu** przez szereg następujących po sobie pokoleń, czyli przez wszystkie istoty rozumne, żyjące na naszej planecie w różnych epokach i różnych miejscach — przedstawia się naszym oczom jako **dzieje**. Prosta analogja mówi nam, że tak jak my walczymy sami z sobą i z warunkami naszego bytu, tak jak my dążymy ustawicznie naprzód, rozszerzamy zakres naszych działań, kształcimy nasze Ja, poszukujemy maksimum wiedzy i maksimum bytu — tak samo czynili to inni ludzie na całej przestrzeni minionych dziejów i tak samo w przyszłości żyć będą. Powszechność i podobieństwo tego procesu wskazuje nam, że to właściwie jeden i ten sam rozum, duch samorzutny człowieka rozsiany w niezliczonych indywiduach, czy egzemplarzach, toczy swój gigantyczny bój z przyrodą o samego siebie, aby poprzez nieprzejrzaną mnogość prób, trudów, odkryć i doświadczeń — **poznać się i zdziałać,** czyli dotrzeć do własnej swej rzeczywistości na drodze spekulatywnej i praktycznej, przez myśli i przez czyny.

Konflikt moralny założony w duszy ludzkiej, konflikt od którego nie może ona uciec, ani się uchylić, jest prawdziwem źródłem wszystkich aktów naszej woli, wszystkich czynów indywidualnych i zbiorowych, wszystkich gwałtów i poświęceń heroicznych, wojen i rewolucyj, doktryn społecznych, kodeksów i ruchów reformatorskich jakich widownią są dzieje. Tego konfliktu, polegającego na odczuwaniu sprzeczności między tem co jest, a tem co być powinno, — niema wcale w istotach fizycznych, t. j. w zwierzętach. Wykonują one automatycznie i instynktownie funkcje wyznaczone im przez ich przyrodę, zaspokajają popędy zmysłowe, kręcą się w kółko w orbicie tych samych zawsze warunków bytu, niezdolne do przekroczenia ich i do odczucia braku wyższej, doskonalszej rzeczywistości.

Podkreślając raz jeszcze dwoistość, albo stan moralny człowieka, jako źródło dziejów, stwierdzamy tedy, że dziejami, albo historją należy zwać okres czasu, zawarty pomiędzy bytowaniem czysto zwierzęcem a bytem czysto duchowym (boskim) ludzkości. Stan pierwszy jest prehistorją, stan drugi zakończeniem dziejów. Właściwa historja rozciągać się może tylko między temi dwoma szrankami, pomiędzy zerem człowieczeństwa, a jego nieskończoną pełnią: podobnie w matematyce szereg liczb wymiernych znajduje się pomiędzy zerem a nieskończonością.

Problemat zdobycia maksimum rzeczywistości przez Ja ludzkie jest więc **warunkiem dziejów.** Dlatego nie mogą ich mieć zwierzęta, niezdolne do założenia takiego problematu. Dlatego też nie znają one konfliktów moralnych, w jakie uwikłana jest ludzkość. Brak im rozumu t. j. władzy dążącej ku zasadom i stawiającej problematy, władzy odkrywania przyczyn i celów, danej nam in concreto w postaci wieczystego, nigdy nie zaspokojonego aktu umysłowego: „dlaczego?".

Człowiek pyta „dlaczego?" — i z tego jednego aktu jego rozumu powstaje filozofja i religja, nauki i sztuki, prawo i ustrój społeczny, urządzenia gospodarcze, narzędzia i wynalazki. Wszystko co stworzył człowiek, ma swoje uzasadnienie i swój cel, czyli swoje „dlaczego". Znaczy to, że odciska on na wszystkiem, z czem ma styczność, piętno sensowności, racji bytu, rozumu. Teza: „rzeczywistość ma sens" — jest naczelnym postulatem rozumu. Pozbawiony tego przeświadczenia, człowiek przestałby dążyć, myśleć, działać. Jedynem rozwiązaniem takiego stanu duchowego byłoby samobójstwo, lub obłed.

Rzeczywistość ma sens = Rzeczywistość jest dlaczegoś. Podkreślam dlatego z takim naciskiem ten najoczywistszy postulat rozumu, że on jeden tylko zdolny jest uzasadnić możliwość historjozofji, czyli **wiedzy o dziejach**. Jeżeli bowiem rzeczywistość wogóle jest „dlaczegoś" (jest uwarunkowana przez przyczynę i cel), to i ludzkość w swym procesie rozwojowym — jako rzeczywistość najbezpośredniej nam dana — musi mieć swój warunek **wstecz** (poza sobą) i swój warunek **naprzód** (przed sobą). Wiedza o dziejach, to w pierwszym rzędzie określenie punktu wyjścia i punktu dojścia (startu i mety) ludzkości, jako dwu podstawowych warunków samego dążenia. Osiągamy w ten sposób ideę sensu i celowości dziejów, przez wiele płytkich i sceptycznych umysłów usilnie zaprzeczaną.

Ta idea celowości dziejów, idea solidarnego dążenia ludzkości ku jakimś — z góry zdeterminowanym przez ustrój istoty rozumnej — ostatecznym celom, jest bardzo późną zdobyczą nauki. Powziął ją właściwie dopiero wiek XIX-ty. Że zaś żaden ze znanych i uznanych myślicieli tego wieku nie zbudował pełnego i wszechstronnego systematu filozofji historji, zaspokajającego rozum i niedającego się obalić przez krytykę naukową — idea ta jest dziś mniej respektowana, niż w wieku XIX-tym i albo zbijana gwałtownie, albo ostrożnie omijana. Chętniej od idei celowości dziejów rozważa się ideę postępu. Socjalizm np. posługuje się wciąż pojęciem prawa postępu, interpretując je po swojemu, a mianowicie na rusztowaniu materjalizmu historycznego Karola Marksa, będącego echem zastosowania przez Hegla jego metody djalektycznej do problemu dziejów. Idea postępu przyjęła się nawet w życiu potocznem, ale nie może ona mieć żadnej absolutnie wartości naukowej bez określenia samego **problematu postępu**, t. zn. bez ścisłego wyznaczenia celu, do jakiego zmierza ludzkość, jako do zakończenia całego procesu dziejowego. Takiego celu umotywowanego logicznie, a więc posiadającego rację bytu w sobie samym, nie dała żadna koncepcja historjozoficzna, prócz jednej tylko doktryny Hoene - Wrońskiego, co udowodnię w następnych artykułach.

Aby ułatwić czytelnikowi zrozumienie prawa postępu i opartej na nim filozofji historji Hoene - Wrońskiego, przeprowadziłem na wstępie analizę samego pojęcia dziejów. Wykazałem, że **warunkiem dziejów jest problemat przejścia od rzeczywistości danej do rzeczywistości poszukiwanej**, albo wyraźniej, problemat wyzwolenia się rzeczywistości absolutnej człowieka z więzów jego rzeczywistości względnej, czyli zwierzęcej.

Tem samem odpada pytanie o cel **najwyższy** ludzkości, cel, którego nie **znały** dotąd historjozofje, a bez którego idea postępu nie ma wartości naukowej. W pytaniu bowiem zawarta jest **sama przez się i** odpowiedź. Celem musi tu być oczywiście sam warunek dziejów, czyli problemat osiągnięcia przez człowieka rzeczywistości absolutnej. Przecząc temu problematowi i celowi zarazem, zniszczylibyśmy warunek dziejów: wówczas jednak nie mogłyby istnieć one same. Nie byłoby wtedy już żadnego sensu pytać o cel dziejów, gdyż cel czegoś nieistniejącego nie może nikogo obchodzić.

Sceptyk mógłby ratować swoje absurdalne stanowisko twierdzeniem, że dzieje ludzkie wogóle mogą nie mieć celu. Ale widzieliśmy z wywodów powyższych, że: 1) wszelka rzeczywistość istnieje dlaczegoś; 2) dzieje ludzkie powstają tylko przez dążenie do celu. Aby zgodzić się ze sceptykiem, musielibyśmy przyjąć, że dzieje, które są dziejami tylko przez dążenie do celu — nie dążą do żadnego celu. Byłby to jednak oczywisty nonsens. Zatem idea celu absolutnego dziejów zakłada się sama przez się i nie da się obalić przez żaden argument rozumowy.

Okazawszy tak, czem są dzieje, przejdę w następnym artykule do omówienia różnych prób historjozofji, podejmowanych przez myślicieli zachodniej Europy.

Jerzy Braun.

Kryzys teorji kryzysów

Leon Litwiński: Kryzys teorji kryzysów. Warszawa 1932. Nakł. F. Hoesicka. Str. 32.

Postawa autora jest negatywna. Praca ta nie wnosi nic nowego do zagadnienia, zestawia tylko ze sobą poszczególne „teorje kryzysu" i opinje ekonomistów współczesnych o międzynarodowej sytuacji gospodarczej, wykazując bezsilność teorji, sprzeczność opinij i zawodność proroctw.

L. Litwiński zapoznał się przed napisaniem swej broszury z literaturą specjalną, której dorobek w tej dziedzinie w latach kryzysu jest olbrzymi. Swój sceptyczny sąd wypowiada on tedy na podstawie obszernego materjału faktycznego. Cytuje liczne głosy fachowców Europy i Ameryki, znakomitości świata finansowego, aby przekonać nas dobitnie o ich nicości. Co do przyczyn kryzysu, to jedni z nich widzą je w jakiemś pojedyńczem zjawisku ekonomicznem n. p. w nadprodukcji, lub ograniczeniu wolności handlu — inni znowuż sporządzają całe litanje tych przyczyn; tak np. pewien ekonomista niemiecki wylicza ich aż 235. Sławny uczony szwedzki, Gustaw Cassel, nie przypisuje nadprodukcji większego znaczenia: kryzys wywołany jest, jego zdaniem, zjawiskiem nierównomiernej repartycji złota. Brak równowagi w tej repartycji sprawia, że „ludzkość jest obecnie przygwożdżona do krzyża ze złota i nikt nic tej zbolałej ludzkości w jej cierpieniach nie zdoła pomóc, dopóki nie nastąpi ogólne porozumienie..." Teorja prof. Cassela nie tłumaczy jednak, zdaniem wielu, kryzysu w krajach tak nasyconych złotem, jak Stany Zjednoczone lub Francja. Prof. Aftalion n. p. pisze:

„Jeżeli chodzi o kryzys, to jest rzeczą zastanawiającą, że ogniskiem kryzysu, jego centrem, jego punktem oparcia dla przeistaczania się w kryzys światowy są Stany Zjednoczone. Skoro złoto posiada w sobie taką intensywność i taką zdolność promieniowania w świecie, to jak wytłumaczyć kryzys brakiem złota — w kraju, gdzie tego złota są takie bogactwa?".

W przeciwieństwie do p. Cassela — p. Aftalion widzi przyczynę kryzysu w nadprodukcji, co istotnie w odniesieniu do Stanów Zjedn. ma większe pozory prawdopodobieństwa. Są jednak ekonomiści, którzy szukają rozwiązania zagadki całkiem gdzieindziej, a mianowicie w problemie skurczenia się konsumpcji. (Rosja Sowiecka, Chiny, Ameryka Południowa, spadek siły nabywczej krajów rolniczych Europy środkowej i wschodniej). Przeczy temu prof. Baudhuin, według którego straty poniesione przez ludzkość wskutek spadku cen artykułów rolniczych wyrównują się przez zysk krajów przemysłowych, które płacą mniej za te produkty.

Genewskie Międzynarodowe Biuro Pracy podaje następujące przyczyny kryzysu:

„1) nadmierny wzrost produkcji niektórych artykułów rolnych, przedewszystkiem zaś pszenicy;

2) dysharmonja między produkcją niektórych surowców i dóbr wytwórczych a zdolnością absorpcyjną rynków;

3) brak elastyczności między pieniądzem a kredytem z jednej strony, a rezerwami złota z drugiej, które to zagadnienie rozwinięte zostało w raporcie Komitetu Finansowego Ligi Narodów;

4) kryzys zaufania, powodujący złą repartycję złota, niedostateczną cyrkulację kapitałów i ograniczenia kredytowe;

5) spadek cen srebra, którego skutkiem jest zmniejszenie siły nabywczej krajów, opierających swą walutę na bazie srebrnej (Indje, Chiny);

6) zbyt wysoki poziom kosztów produkcji, istniejący w niektórych krajach, wynikający głównie z przyczyn geograficznych;

7) rozwój nowych ośrodków produkcyjnych, powodujący zaburzenia w międzynarodowej wymianie (Japonja, Indje, Australja i t. d.).

8) sztuczne utrudnienia, stawiane wymianie międzynarodowej, takie, jak zakazy przywozu i wywozu, system kontyngentów i pozwoleń, kontrola dewiz zagranicznych; przedewszystkiem zaś stały wzrost murów celnych, mających jako skutek wtórny, nierównomierność zatrudniania, zależnego od zmiennych pod wpływem ceł możliwości zbytu; zjawiskiem pokrewnem jest szeroko stosowany system dumpingu;

9) zła repartycja ludności w odniesieniu do wymagań produkcji, czego nie należy łączyć z przeludnieniem, gdyż zjawisko to zachodzi i w krajach słabo zaludnionych: natomiast istnieje analogja z kwestją złej repartycji kapitałów, która uniemożliwia należyte zatrudnienie rąk wolnych;

10) nadmiernie szybki rozwój mechanizacji i racjonalizacji produkcji, przyczyniający się do wzrostu bezrobocia, w stopniu niedocenianym".

Niezależnie od różnorodności i sprzeczności teoryj kryzysu, odsłaniających brak kardynalnych podstaw, niezmienników w ekonomji, jako nauce — ekonomiści dyskredytują się jeszcze, zdaniem autora, niepotrzebnem wygłaszaniem przepowiedni, które nie sprawdzają się z reguły. Autor cytuje szereg szczególnie jaskrawych przykładów tych proroctw, wbrew którym zawsze działo się wprost odwrotnie.

„Na tem jednak nie koniec. Obok załamania się wiary w wiedzę i zdolność przewidywania ekonomistów, obok prawdziwego kryzysu teorji kryzysów, daje się obserwować załamanie się wiary w możliwość utrzymania na dalszą metę samych ustrojów gospodarczych świata, opartych na systemie kapitalistycznym".

Tu jednak nasuwa się uwaga, że system ten oddawna już nie istnieje w swej formie klasycznej, będąc raczej potworną mieszaniną interwencjonizmu i etatyzmu z liberalizmem, wolnego handlu z kartelem, syndykatem i trustem, przedewszystkiem zaś psychologji kapitalistycznej z socjalistyczną. Nic dziwnego zatem, że liberalizm podnosi głowę i przypomina światu swoje klasyczne zasady; że Henri Man kończy swą krytykę współczesnego kapitalizmu temi słowy:

„Cośmy znaleźli w końcu naszej analizy, jako przyczyny konkretne chronicznych zaburzeń przebijających się przez obecny kryzys cykliczny?

„Poprostu to: funkcjonowanie systemu kapitalistycznego wykazuje zamęt i jego żywotność jest zagrożona tylko w tej mierze, o ile jego struktura rozpatrywana w płaszczyźnie światowej — odchyla się od postulatów i hipotez liberalizmu".

L. Litwiński dochodzi do słusznego wniosku, że reglamentowanie życia gospodarczego zdaje się być utopją. Przyczyny tego widzi zarówno w nieznajomości praw produkcji w całej ich rozciągłości i głębi, w nieobliczalności konsumcji, zależnej w dużej mierze od zmienności gustów i nastrojów psychicznych, wreszcie w rozległości organizmu gospodarczego całej ludzkości. Dodamy od siebie, że reglamentacja taka nie jest do pomyślenia bez zjednoczenia uprzednio ludzkości naszego globu w jednolity system federacyjny. Musi nastąpić wpierw reforma moralna świata „jeżeli się uznaje, że człowiek jest czemś więcej w swej istocie i nurtujacych go dążeniach, niż chimerą zwaną „homo oeconomicus"...

Autor antycypuje ten wniosek, zapytując rozumnie:

„Dlaczego jednak, skoro człowiek jest istotą ułomną, chociaż nadającą się do doskonalenia, żądamy ustroju gospodarczego nie podlegającego załamaniom, chorobom, kryzysom?

„Dlaczego mamy żądać rzeczy absolutnych, skoro wszystko jest względne?".

To jedno zdanie uważam za pozytywne w całej tej pracy, której zasługą pozatem może być chyba wykazanie naoczne i udowodnione, że współczesna wiedza ekonomiczna jest na swym terenie zupełnie bezsilna. A pozytywne jest ono dlatego, że prowadzi uważnego czytelnika do następującego wniosku:

Jeżeli wszystko wokoło nas jest względne, to zamiast domagać się i szukać bezskutecznie doskonałego ustroju gospodarczego—i to poprzez fałszywe, naoślep przeprowadzane eksperymenty i reglamentacje — zwróćmy się lepiej naprzód ku samej istocie rzeczywistości, aby wyłuskać jednak z łona względności jakiś punkt oparcia dla rozumu, jakieś **zasady absolutne.**

br. bor.

„WEIMAR 1829"

Prof. Balicki wydał w Krakowie (nakł. „Dwutygodnika Literackiego") w przekładzie fragmenty dramatu „Weimar 1829", napisane przez Wyspiańskiego w r. 1904. Wydanie to wzorowane jest na tym typie graficznym, w jakim drukowane były oryginalne wydania dzieł Wyspiańskiego, pod jego osobistem kierownictwem.

Komitet Obchodu ku czci Stanisława Wyspiańskiego ma dalej zamiar wydać z okazji mających się odbyć w Krakowie uroczystości, dwie popularne broszury o twórczości Wyspiańskiego, urządzić uroczystą akademję radjową, oraz szereg odczytów. Oprócz tego ma się ukazać wydawnictwo teatru im. Jul. Słowackiego o twórczości teatralnej Wyspiańskiego.

Człowiek nowoczesny*)

(Artykuł ten nie zajmuje postawy krytycznej w stosunku do książki Fortunata Strowskiego, poprzestając na jej syntetycznem streszczeniu. Zamiarem autora artykułu było bowiem ukazać w wiernem odbiciu obraz myśli i idej, nurtujących dzisiaj świat zachodnio-europejski, w jego dążności ku nowemu humanizmowi).

NATURA I CZŁOWIEK.

Człowiek dzisiejszy jest nieszczęśliwy. Przeraża go najmniejsza chmurka na horyzoncie. Męczy go stale albo niepewność, albo znudzenie. Ten stan powinien ustać. Faktycznie bowiem ludzie nie stracili nic na sile. Od dziesięciu lat wiedza, przemysł, organizacja socjalna, metody pracy — dały do dyspozycji ludziom nową potęgę. Człowiek jednakże nie jest do tego przygotowany; drży przed odpowiedzialnością, jak dziecko, któremu powierzono manetki ogromnej fabryki. Jednocześnie stare zasady straciły swą moc: to nie są już skały niewzruszone, ale grunt chwiejny i zdradziecki.

Przytem ludzie zmęczeni nadmiernem roztrwonieniem energji przez wojnę, nie chcą poznać rozmiarów zła, które ich dręczy. Nie mają siły spojrzeć w głąb rewolucji, którą świat obecnie przeżywa.

Rewolucja ta, w odróżnieniu od wszystkich minionych, nie jest ruchem politycznym. Zdaniem Strowskiego, dotyczy ona stosunku człowieka do natury, tak jak rewolucja chrześcijańska dotyczyła stosunku człowieka do Boga.

Dotychczasowy stosunek człowieka do natury zasadzał się na przekonaniu o zupełnej ich odrębności. Stąd płynęła pierwotna cześć religijna dla przyrody, przekształcona następnie przez chrześcijan, widzących w niej obraz doskonałości Boga. Z wygaśnięciem filozofji spirytualistycznej w połowie zeszłego stulecia, uczeni głosić zaczęli, że naturą rządzą prawa niezmienne i logiczne. Ten determinizm, wypowiadający się w formułach matematyczno - fizycznych, nie wyprowadził jednakże człowieka z lasu niepewności. Natura nadal pozostawała dla ludzi obcą i tajemniczą. Człowiek nie poznał właściwie praw rządzących światem i żył nadal na łasce najbanalniejszych okoliczności.

Pierwszym znakiem charakteryzującym czasy nowoczesne jest fakt, że Matka-Natura straciła swój dawny majestat. Nie wzbudza ona już religijnego lęku. Dzisiaj ludzie znają ją dokładnie i umieją z niej korzystać. Wiedza dzisiejsza nie podobna jest do dziewiętnasto - wiecznej, która kończyła się na formułach abstrakcyjnych i ogólnych. Ona żyje i działa. Dzięki konsekwentnemu użyciu rozumu ludzkiego, przyroda zdaje się dziś nie mieć żadnych sekretów. Jej moce, któremi ongiś terroryzowała świat, służą nam teraz ujarzmione.

W tej walce człowieka z naturą, rolę niepomiernie ważną spełnia maszyna. I właśnie rewolucyjne zmiany w maszynie są, zdaniem Strowskiego, drogą do wyzwolenia nowoczesnego człowieka. Dawna maszyna tylko usprawniała siłę ludzką, ale nic do niej właściwie nie dorzucała (np. maszyna parowa). W ten sposób praca wyprodukowana była zawsze proporcjonalna do siły mięśni. Nic też dziwnego, że mięsień był ubóstwiany, jako źródło życia. Gloryfikowano go w kulcie dla proletarjatu i dla sportu. Stał się on integralną częścią idei piękna. Ale ta supremacja mięśnia ustała z chwilą wynalezienia nowoczesnej maszyny, która już nie zużywa siły ludzkiej, lecz zapożycza energję od natury. Klasycznym przykładem jest przekształcenie energji wodospadu w energję elektryczną, która staje się światłem lub muzyką zależnie od naszych potrzeb, — a ani w swojej produkcji, ani w transmisji, ani w użyciu nie wymaga pomocy mięśni ludzkich. W ten sposób muskuły przestały być człowiekowi tak straszliwie potrzebne. Może on teraz orjentować swoje życie, a nawet swoją ideję piękna według innych wzorów, niż mięsień. Stoimy o krok zatem od spirytualizmu. W każdym razie mamy prawo skonstatować, że tajemnicze energje natury, źródła dawnej czci religijnej, należą odtąd do nas, uległe naszej woli. Strowski przypuszcza, że to może mieć decydujący wpływ na odnowienie rasy ludzkiej, a przyczyni się napewno do wzmożonej radości życia.

OBLICZE ŚWIATA.

Jednym z pierwszych efektów nowoczesnej maszyny jest obdarzenie ludzi przywilejem jakiego dotąd nigdy nie posiadali, mianowicie szybkością. Dzięki niej człowiek zwyciężył przestrzeń i zmienił wygląd ziemi.

Przestrzeń jest bezsprzecznie wrogiem niszczącym podstępnie nasze siły fizyczne i moralne. Nauka przestudjowała ją wprawdzie nawylot, ale zwyciężyć nigdy dotychczas nie próbowała. Przez tysiące lat szybkość, z jaką ludzie zmieniają miejsce, pozostawała bez zmiany i nie przewyższała nigdy galopu konia. Dzisiaj skala szybkości skoczyła tak wysoko, że trudno ją nawet porównywać z przeszłością. Już wynalazek lokomotywy wprowadził ludzi w świat szybkości. Ale kolej żelazna jest organizacją społeczną i użytkowi indywidualnemu nie służy. Dopiero automobil dał poszczególnym jednostkom ludzkim przywilej szybkości. Dzięki niemu odżyły okolice wzgardzone przez drogę żelazną. Te zmiany jednak są niczem w porównaniu do niezwykłej transformacji oblicza ziemi, jaką zawdzięczamy szybkości. Ona nowiem odnowiła całą naszą estetykę, całą naszą rozkosz życia.

Powszednie wrażenia, jakie życie gromadzi w nas bez przerwy, grają w naszem życiu umysłowem rolę największą, ponieważ przez powtarzanie stwarzają osnowę naszego charakteru. Ongiś artysta patrzył na świat zewnętrzny w jeden i ten sam sposób, który Strowski nazywa stanem bezruchu (mode d'immobilité). Szybkość nowoczesna daje nam wrażenia jakie ona jedna może tylko stworzyć. Nasi ojcowie jej nie znali. W stanie bezruchu normalnym sposobem patrzenia jest analiza: rzeczywistość widziana w ten sposób jest sumą elementów precyzyjnie określonych. Człowiek nowoczesny zaś spostrzega, że szybkość ściera brutalnie wszelkie detale; syntetyzuje, zatrzymując rysy tylko zasadnicze: chce ona prostoty, siły, charakteru. Pozatem szybkość nowoczesna sprawia, że na drodze człowieka wszystko, prócz niego samego, jest ożywione gwałtownym ruchem. Przeszkody wszelkiego rodzaju rosną i nagle zmniejszają się dziwacznie. W pierwszym rzędzie sztuka dziś notuje takie obrazy, a zwłaszcza malarstwo plakatowe, będące prawdziwą szkołą modernizmu dla oczu tłumów. Jednakże faktem jest, że niema dziś jeszcze wśród artystów prawa, któreby regulowało nową estetykę. Prawo to, zdaniem Strowskiego, stworzy szybkość. Za prekursorów prawdziwie nowoczesnej sztuki uważa on kubistów, którzy chcieli kształtować świat z elementów geometrycznych. Bowiem szybkość dzisiejsza odsłania rzeczywiście geometryczną osnowę świata. Dla pędzącego automobilisty wszystkie rzeczy przestają być rzeczami indywidualnemi, oddzielnemi przedmiotami. Drzew migających na prawo i lewo nie można już dostrzec jedno po drugiem: tworzą one nieprzerwaną wstęgę, przytem wstęga taka nigdy nie jest nieruchoma, wzbierając stosownie do rytmu szybkości. Masy, które turysta spostrzega na horyzoncie, tracą również swoje szczegóły indywidualne i zdają się być ożywione regularnym ruchem. Nie są one już naturalnym elementem krajobrazu, lecz dziełami architektury, które ludzkość, cudownie potężna, rozsiała na powierzchni ziemi. Tak to Fortunat Strowski komentuje kubizm i geometryzm, którego ludzie usiłują daremnie dopatrzeć się w rzeczywistości.

W ten sposób szybkość stała się dla piękna i ładu tem, czem dialektyka Platona usiłowała być dla prawdy i dobra, a dialektyka Pitagorasa dla harmonji sfer niebieskich. Estetyka, zrodzona w tych warunkach, choć zupełnie nowa — nie zaprzecza mimo to przeszłości, gdyż zasadza się, jak to zawsze bywało, na studjowaniu natury ludzkiej. Nietrudno spostrzec, że działa ona już na smak powszechny. Przeciętnemu obserwatorowi dzisiejszemu (nie trzeba zapominać, że Strowski żyje we Francji!) odpowiada sztuka, która jest w zgodzie z jego wrażeniami ruchu i szybkości, wrażeniami idącemi w kierunku syntetycznego, nie zaś analitycznego percypowania rzeczywistości. Reżyser np. teatralny, grupując na scenie tłum gwałtownie poruszony, nadaje mu postawy geometryczne, właściwe szybkości.

Od wieków linja prosta była uważana za niewdzięczną i brzydką. Dzisiaj szybkość odsłoniła nam piękno prostej linji będącej stałą towarzyszką naszych podróży. Wyraża ona rozmach i pęd, symbolizuje wyzwolenie energji i zwycięstwo człowieka nad przestrzenią. To też artyści, a w pierwszym rzędzie architekci, posługują się linją prostą z całą swobodą. Używają jej wszędzie, gdziekolwiek może okazać się im przydatną, ponieważ wiedzą, że jest ona dziś piękna.

Ale szybkość nietylko w dziedzinie estetyki przynosi radykalne zmiany. Najważniejsze jest to, że rwąc jak piorun poprzez ziemię, unosi ona wszelkie drobiazgi, jak pyłki piasku, odsłaniając sklepienia niezniszczalnych skał i pokazując proste linje rzeczywistości. A ponieważ szybkość, jako nasze dzieło, zależy od nas, więc też i od nas zależy, czy widzieć będziemy strukturę rzeczywistości w jej istotnej postaci i czy naprawdę zmienimy oblicze świata.

KONIEC CYWILIZACJI.

Człowiek nowoczesny, władca rzeczy i ich piękności, zakuł się dobrowolnie w kajdany, — kajdany cywilizacji przemysłowej, trjumfującej nad nim już od stu lat. Dziś cała ziemia chce być uprzemysłowiona. A jednakże — zdaniem Strowskiego — jest to tylko stan przejściowy między dalekiem „wczoraj", a bliskiem „jutrem".

Cywilizacja przemysłowa dowiodła, że potrafi zadowolnić wszelkie potrzeby ludzi. Zrodziła ona w nich nawet nowe, nieprzewidziane potrzeby. Wkońcu stworzyła ogromne, gwałtowne fortuny. Dała pewnym jednostkom niebywałą potęgę. W ten sposób tłumaczy się jej powszechne panowanie. Tak, jak fabryka maszynie parowej zawdzięcza swój charakter, tak cywilizacja przemysłowa — fabryce. A fabryka tyranizuje wokół siebie ludzi i narzuca im prawa swoje, obce naturze; kształtuje nietylko ich przyzwyczajenia, ale też ich aspiracje moralne. W krajach o starej kulturze etycznej (jak Francja) przemysł nie panuje samowładnie, to też walka między starą, a nową cywilizacją stworzyła etykę złożoną i chwiejną. W Ameryce natomiast — przeciwnie, kultura, rosnąc jednocześnie z przemysłem, przesiąkła nawskroś wymaganiami fabryki i jej etyką. Etyka ta zabrania wszelkich rozkoszy, dobrych, czy złych, które robią ludzi mniej wrażliwymi na komfort (np. prohibicja). Jest ona bezlitosna wobec iluzyj, które pozwalają wierzyć w szczęście i które przeszkadzają szukać go w dobrobycie. Strowski przypomina frazes Renana, wygłoszony na jakiejś międzynarodowej wystawie: „Ileż tu rzeczy, bez których mogę się obejść!" Etyka przemysłowa kazała by nam dzisiaj powiedzieć: „Ileż tu rzeczy, bez których obejść się nie mogę".

Ale cywilizacja przemysłowa, wraz ze swoją etyką, przestanie wkrótce rządzić światem, a sprawi to, jak wierzy Strowski, korrupcja jej podstawowej zasady. Człowiek bowiem pracuje dla fabryki, a fabryka przestaje dla niego pracować, produkuje natomiast wyłącznie dla własnych interesów. W ten sposób skazuje się sama na śmierć. Widzimy coraz częściej, że bierze ona za podstawę kalkulacji nie potrzeby ludzi, ale potrzeby osobiste; lansuje nagle na rynku przedmioty nietylko zbyteczne, ale niebezpieczne (np. monopol spirytusowy). Pozatem produkty fabryki są wszystkie do siebie podobne. Już nawet domy buduje się seryjnie. Otóż przyrodzoną właściwością człowieka jest tworzyć rzeczy noszące znamię jego indywidualności. Ten instynkt (który Strowski nie waha się nazwać świętym) jest w zupełnej sprzeczności z nowoczesną cywilizacją przemysłową, która zwalcza wszelką indywidualność i nienawidzi wszystkiego, co jest spontaniczne i mocne.

Grzechem jednakże najtrudniejszym do darowania jest użytek, jaki cywilizacja przemysłowa zrobiła z robotników. Fabryka wymaga od ludzi zalet chronometru, niszczy zaś w nich wszystkie inne. Robotnik nudzi się i bardzo szybko siły jego wyczerpują się. Rozkosz ukończenia i upiększenia przedmiotu już nie podtrzymuje tego nieszczęśnika. Cywilizacja przemysłowa zabiła w nim dawno radość pracy. Robotnik fabryczny uważa swą współpracę z maszyną za najcięższą karę. Stale żąda zredukowania godzin pracy. I trudno go oskarżać o lenistwo. Patrząc na to gwałtowne zużycie robotnika, nikt nie ośmieli się zaprzeczyć, że jest coś głęboko nieludzkiego i bezrozumnego w cywilizacji przemysłowej.

I oto dzisiaj wybiła godzina zagłady jej metod: nadprodukcja! Ilość przedmiotów wyprodukowanych przez maszynę nagle przekroczyła liczbę konsumentów i ich potrzeby. Przyczyną tego nie stał się bynajmniej wzrost bogactw, ale wzrost wydatków. Niema przecież za dużo bawełny, ale cena jej jest zbyt wygórowana. Raz popchnięta do coraz bardziej intensywnego produkowania, maszyna z każdym dniem powiększa rujnującą nadprodukcję. Różnica między jej potrzebami, a zdolnością kupna nabywców rozciąga się jak przepaść. Dotąd nie znaleziono na to lekarstwa, ponieważ lekarstwo to dotknęłoby samych fundamentów cywilizacji przemysłowej i zmusiłoby do zniszczenia fabryk produkujących zbyt wiele i zbyt drogo. Dowodzi to jasno, że cywilizacja ta osiągnęła kres swojego postępu i panowania. Czas jest zatem najwyższy zastąpić ją czemś innem.

To coś innego już znaleziono. Jest to — zdaniem Strowskiego — maszyna prawdziwie nowoczesna, ta która samodzielnie wytwarza siłę. Nie wymaga ona zmęczenia mięśni; z ludzi nie robi swoich niewolników. Jej energja cyrkuluje w rękach człowieka i choć tak bardzo zwinna, może swą siłą zdystansować najpotężniejsze maszyny parowe. Strowski wierzy, że najbardziej naturalnem zastosowaniem motorów elektrycznych (czy innych równie nowoczesnych) będzie praca indywidualna, która dzięki temu będzie w stanie wytwarzać przedmioty harmonizujące z wszelkiemi odcieniami ludzkiej osobowości. Nie znaczy to, żeby Strowski chciał powrotu do rzemieślniczej produkcji. Ale uważa za zupełnie możliwe zdobycie dzięki nowoczesnej maszynie idealnych warunków produkcji, o jakich dzisiaj pojęcia nie mamy. Ludzkość posiada wszelkie dane, żeby powrócić do pracy artystycznej, radosnej, osobistej i wolnej. Parowozy krążą od stu lat po drogach żelaznych. A jednak ileż ludzi podróżuje teraz własnymi autami, po drogach wybranych według własnej woli z szybkością dowolnie regulowaną? Tak samo postępować będzie człowiek z każdą rzeczą. Ujarzmiona stara maszyna przemysłowa zredukowana zostanie do tej samej roli, jaką spełnia natura: do roli pociągowego bydlęcia. Robotnik nie będzie już podlegał jej prawu. I tutaj zatem prawo człowieka będzie prawem najwyższem.

St. E. Rogoyski.

(Dok. nast.).

*) Fortunat Strowski: L'homme moderne. Paryż 1931. Wyd. Grasset, 8°, str. 221.

BOLESŁAW MICIŃSKI

HYMN

S. I. Witkiewiczowi — poświęcam.

I

Jako jeleń krzyczący do strumieni wód
Tak dusza moja woła do Ciebie o Boże
Od dróg żłobionych w koleiny
Gdzie na piaszczystych wydmach rosną
Zakrzepłą krwią zbryzgane jarzębiny
I karłowate rude sosny
Dziurawią zgrzebną płachtę niebios
Spaloną słońcem i zetlałą
Od pól spieczonych żarem białym
Obsianych perzem i kąkolem
Idę jak szklanooki Golem
Idę do Ciebie Wielki Boże
A moje bose stopy gniotą
Nagietki żółte — jaskry złote
I zeschłe — wiatrem ścięte trawy
Ziemię sperloną potem krwawym
Głogów rozkwitłych na przydrożu.

II

Zgasnę
Jutro wszechświat zamknięty w skrzyni trumiennej
Zakopię w wałach żółtej gliny
Zielony brzozowy gaju zamknięty w trumnie żelaznej
O wonne stogi koniczyny
Zżętej błyskiem stalowej kosy!

Zgasnę
Jak lampa zdmuchnięta —
Jak mlecz przekwitły rozwiany wiatrem
Opadnę na zeschłą żółtą trawę
Białe gwiazdy płynące po niebie
Jak srebrne ryby w czarnych stawach
Białe gwiazdy krążące w sklepieniu kruchej czaszki
Śmierć ścięła w źrenicach szeroko rozwartych
Szkliwem nieprzezroczystem

Zgasnę
Jaskry więdną
Zwijają się mleczne drogi jak źdźbło trawy podciętej płomieniem
Żółte motyle opadają w czarne jeziora
Szumiące grzędy żyta wiatr południowy spopielił
Idą drzewa obdarte z liści i kory
Podobne białym szubienicznym słupom
Które raz do roku — o świcie —
Kwitną gorzkim czerwonym kwiatem kareli.

III

Niebo zastygło
W górze czerń po której płyną białe gwiazdy
A z dołu miedź rozdarta kolcem dzikiej róży
Płacze kroplami skrzepłych głogów
I ćmi czerwonym gwiezdnym kurzem
W moje wilgotne oczodoły
I z ust sklejonych bryłą gliny
Kwitnie płonącym krwawo krzemem
Rozdartej wiatrem jarzębiny.

JERZY BRAUN

DLACZEGO?

Piony i kąty, miljard elips,
mkną hyperbole chyżych kul,
zodjak gwieździsty na karuzeli,
na niewidzialnej osi krąży,
Słońca jak pszczoły, złoty ul,
niezgruntowana bezdeń lat..
Wyje mgławica w boskiej ciąży —
otchłań w człowieka chce się wcielić —
Dlaczego świat?!

Dlaczego wiatr i przestrzeń niebieska?
Dlaczego miejsce puste bez granic?

Największy Siłacz skrył się za Nic.
Punkt? Koło? Kreska?

Więc pytać wciąż i trwać w tej ciszy,
gdzie las zagadek milcząc rośnie?
Czy jest Ktoś w górze? I czy słyszy,
gdy we mgle konie rżą rozgłośnie?

Dlaczego mgła z nad łąk o świcie?
Dlaczego księżyc gnie się sierpem?
Dlaczego dłoń ogromna czasu
jesienie zimy lata czerpie?
Dlaczego życie?

Dlaczego motyl nakrapiany w bronz
nadleciał i zachwiał łodygą?
I czemu sosna, czemu wiąz,
wiatrak ze śmigą...

Dlaczego wieczór w gardłach nam nabrzmiewa
bólem, słodyczą, pożądaniem?
Dlaczego kochać, czemu śpiewać —
nigdyż to nie ustanie?
Świat się nie zmieści w trwożnem słowie...
Dlaczego człowiek?

Gromady spieszne, lament ludów,
wczoraj — dziś — jutro — wojna — gruz
i znowu naprzód z krwią w przełyku,
drogi wędrowne, góry trudu,
schylone karki, jarzmo, mus...
księgi z metafizyką.
Dlaczego?

Prawo? Cel? Bóg? Historja?
Anioły o złom wsparte w glorjach?
Piękno tworzące — marmur — sztuka —
sens zagrzebany w miejskich brukach —
Sąd Ostateczny — Wielka gra —
Dlaczego to rozdroże?
I dlaczego Ty, Boże?
Dlaczego ja?

J. Locke (1632-1704)

Kartezjusza nazywają ojcem nowożytnej filozofji, a to dlatego, że w rozważaniach swoich wychodził z samowiedzy i słynnym swoim entymematem: Cogito ergo sum (myślę, więc jestem) założył w filozofji kierunek racjonalistyczny (nie istnieje dla nas nic, co nie zawiera się w myśleniu) i antycypował transcendentalną metodę Kanta, a przez przeciwstawienie bytu i myśli i ich połączenie wysunął na czoło zagadnień filozoficznych problemat rzeczywistości. Metoda Kartezjusza: — dedukcyjna, przejęta z matematyki. — Locke stanowi przeciwieństwo Kartezjusza: punktem wyjścia jest dla niego twierdzenie, że całe nasze poznanie pochodzi z doświadczenia, które poczyna się z wrażeń, dostarczanych nam przez zmysły: Locke jest sensualistą, który przez swą analizę pojęć przygotował nowożytną epistemologję (teorję poznania): metoda jego jest empiryczna, przejęta z nauk przyrodniczych i medycyny, którą uprawiał: sedno doktryny jego daje się zawrzeć w entymemacie (domniemanym, sformułowanym tak przez Hoene - Wrońskiego): „Sum ergo cogito" (jestem, więc myślę).

John Locke urodził się 29 sierpnia 1632 r. we Wrington, w rodzinie inteligentnej, o której, jak również o latach dziecięcych filozofa posiadamy mało wiadomości. Do szkół uczęszczał w Westminsterze, na uniwersytet w Oksfordzie, gdzie studjował medycynę, w której osiągnął znaczne postępy. Panujący podówczas w szkołach duch scholastyki obudził w nim niechęć do oficjalnej nauki do takiego stopnia, że w późniejszych latach stał się głosicielem samokształcenia. Dzieła Kartezjusza i Bacona obudziły w nim zamiłowanie do filozofji. Zawód lekarski zbliżył Locke'a do hr. Shaftesbury'ego, któremu uratował życie po ciężkiej chorobie; zawiązały się między nimi długotrwałe przyjazne stosunki, Locke nawet wychowywał syna swego protektora. — Locke zwiedził Niemcy, Francję i Holandję. Gdy Shaftesbury, za liberalne swe przekonania, ściągnął na siebie niełaskę ze strony dworu, prześladowania ze strony króla dotknęły i naszego filozofa: uniwersytet oksfordzki pozbawił go dyplomu uniwersyteckiego. Locke zmuszony był nawet opuścić Anglję i zamieszkał w Hadze, skąd, w widokach zapewnienia sobie bezpieczeństwa, wkrótce udał się w głąb Holandji: do Anglji powrócił dopiero po rewolucji. — W r. 1690 ogłosił swą „Rozprawę o rozumie ludzkim" (Essay concerning Human Understanding), której plan ułożył był jeszcze w r. 1670. Pozatem napisał prace: „Listy o tolerancji", „Myśli o wychowaniu", „O rządzie państwa", „O rządzeniu się rozumem", „O rozumowości chrześcijaństwa". Korespondował z wielu sławnymi uczonymi, m. in. z Newtonem. Umarł 28 października 1704 na rękach zaprzyjaźnionej z nim lady Masham. Na nagrobku wyryto napis, ułożony przez samego Locke'a: „Zatrzymaj się, przechodniu: tu spoczywa John Locke. Jeżeli zapytasz się, co to był za człowiek, odpowiem ci, że żył zadowolony ze swej przeciętności. Oświecony nauką, służył tylko prawdzie. Naucz się tego z jego pism, z których, co się z niego pozostało, dowiesz się lepiej, niż z wątpliwych pochwał epitafjum".

Zacznijmy od teorji poznania Locke'a. Jako cel dociekań epistemologicznych stawia sobie Locke zbadanie pochodzenia, pewności i zakresu poznania. Pobudką do tych rozważań posłużyły dysputy z przyjaciółmi, kiedy, po wyczerpaniu wszystkich dowodów rozumowych, wysunięte na początku dyskusji wątpliwości, nie traciły nic ze swej natarczywości; pozostawało tedy zbadać nasze władze poznawcze, by ustalić, co jest dostępne naszej wiedzy, a co pozostanie dla nas nazawsze zakrytem. W wyniku swych dociekań doszedł do przekonania, że całe nasze poznanie opiera się na doświadczeniu: idej wrodzonych nie mamy. Źródłem wszystkich naszych idej (wyobrażeń) jest doświadczenie, które należy rozróżniać jako zewnętrzne, nazwane przez niego czuciem (sensation), gdy do naszej świadomości docierają wrażenia zewnętrzne,--oraz jako wewnętrzne, nazywane rozważaniem (reflexion), gdy w świadomości naszej zachodzi zmiana stanu. Rola rozważania polega na zestawianiu i łączeniu materjałów, dostarczonych przez zmysły,—w ten sposób powstają idee.

Rozum, tak w pierwszym jak w drugim wypadku zachowuje się biernie. Idee mogą być proste i złożone: pierwsze powstają w nas pod działaniem naturalnem przedmiotów zewnętrznych, drugie pochodzą bądź z powiązania prostych idej, bądź przez porównanie kilku rzeczy, bądź przez abstrakcję. Lecz tylko idee proste są rzeczywiste; złożone są dowolne, i poznanie ma za zadanie wykazać ich zgodność czy niezgodność. Pewność poznań ludzkich jest względna: idee mogą uchodzić za prawdziwe w oczach naszych, lecz być błędne z absolutnego punktu widzenia. Że taki pogląd może doprowadzić do skrajnego sceptycyzmu, okoliczność ta nic wywołuje niepokoju w umyśle Locke'a, gdyż, podług niego, władze nasze umysłowe nie są przeznaczone do poznawania bytu w całej jego pełni, lecz tylko do podtrzymania i zachowania naszego życia i to zadanie spełniają w zupełności. — Stosunku duszy do ciała Locke nie porusza; poznanie Boga można osiągnąć na drodze rozumowej; pojęcie absolutu — czysto negatywne.

Niektórzy późniejsi krytycy doktryny Locke'a, by odeprzeć lub przynajmniej osłabić zarzut sensualizmu, wskazują, że obok czucia uznaje on rozważanie i nawet nalega na rozróżnianie materjału świadomości, dostarczonego przez zmysły, od materjału, dostarczonego przez rozważanie, — wszelako obrona taka jest płonna, bowiem niema u niego rozważania bez zmysłowości, niema doświadczenia wewnętrznego bez zewnętrznego. Słynny dodatek Leibnitza: „nisi ipse intellectus" do formuły Gassendi'ego: „nihil est in intellectu quod non prius fuerit in sensu" zachowuje tu swą wartość, bowiem dobitnie wyraża, że wiedza nie jest bytem.

Etyczne poglądy Locke'a epigramatycznie dają się streścić tak: Cnota jest najwyższem szczęściem i dobrem. Człowiek dąży do szczęścia; przedmioty mogą w różnym stopniu zaspokoić tę dążność, zaś rozum ma wybrać te, które mogą dostarczyć nam największego szczęścia; w wyborze tym ujawnia się nasza wolność, która jest zdolnością powodowania się rozumem w działalności praktycznej. Nasze pragnienia, pochodzące z namiętności, są największą zawadą dla czynności rozumu. Cnota jest największem dobrem, bowiem z nią związana jest największa szczęśliwość w życiu przyszłem. Ale czy jest to przyszłe życie? Na zapytanie to Locke odpowiada z roztropnością, przypominającą Konfucjusza albo Sokratesa: jeżeli istnienie i nieistnienie przyszłego życia ma równy stopień prawdopodobieństwa, rozsądniej jest wybierać takie postępowanie, przy którem na ryzyko wystawia się rzecz mniej wartą. Otóż, przy istnieniu życia pozagrobowego człowiek cnotliwy będzie wiecznie szczęśliwy, przy nieistnieniu — nie jest nieszczęśliwy; źli ludzie w pierwszym wypadku są bezmiernie nieszczęśliwi, w drugim — nie są szczęśliwi.

Etyka Locke'a wytycza główniejsze punkty jego pedagogji; wychowanie i wykształcenie, jako mające przygotować do wyższego szczęścia, winny przedewszystkiem dbać o rozwój strony moralnej wychowanków, zasób zaś udzielonych wiadomości winien być przystosowany do celów życiowych i pożytecznych. Matematyce przypisywał (być może pod wpływem Kartezjusza) doniosłą rolę w wykształceniu, uważając ją za dyscyplinę, wybornie porządkującą naszą umysłowość. Wykształcenie w domu przekłada nad wykształcenie w szkole, by izolować wychowanka od „pstrego stadka niesfornych dzieci". Cechę dobrego wychowania formułuje tak: „nie być niskiego zdania o sobie, ani też o innych"*).

Locke był rzecznikiem szerokiej tolerancji. Kościół, jako wolne zrzeszenie religijne, winien zapewnić sobie posłuszeństwo nie przemocą, lecz wpływem moralnym. Państwo, jako mające na względzie dobro materjalne obywateli, nie powinno wglądać w przekonania obywateli, o ile ich przekonania nie zagrażają bezpieczeństwu i dobrobytowi społeczeństwa.

Zestawiliśmy tu Kartezjusza i Locke'a nie dlatego, by ci filozofowie mieli zajmować równe stanowisko w dziejach myśli ludzkiej: Kartezjusz był wielkim matematykiem i reformatorem myśli ludzkiej, Locke — tylko wybitnym filozofem. Uczyniliśmy to, by wykazać, z powodu jednostronności ich poglądów, niedostateczność w pojmowaniu rzeczywistości. Dedukcja logiczna obu entymematów wadliwa: w entymemacie Kartezjusza w żaden sposób na drodze logicznej nie da się wyprowadzić wniosku o bycie, bowiem przy prawidłowem wnioskowaniu można tylko powiedzieć „myślę, a więc myśli się"; z entymematu Locke'a również nie można wnioskować z bytu o wiedzy. Atoli pierwszy entymemat ma tę wyższość nad drugim, że zawiera świadomość **twórczego ja**, wyższą od świadomości empirycznej, biernej. Byt i wiedza są to dwie strony jednego medalu, zwanego **rzeczywistością**. Byt i wiedza są składnikami rzeczywistości, nie dającemi się wyprowadzić jeden z drugiego, ani utożsamić w świecie zjawisk; tożsamość ich zachodzi w świecie zasad stwórczych, w **absolucie**, gdzie „esse et intelligere idem est"; we względności składniki te znajdują się w stanie częściowego rozłączenia, rządzonego Prawem Stworzenia, którego przedziwną architektonikę odsłonił nam Hoene-Wroński. Otóż, entymemat Kartezjusza zasługuje na naszą uwagę ze względu na jego dedukcję transcendentalną, którą Kartezjusz rozumiał, zdaje się, mgliście, a której znaczenie odsłania filozofja Kantowska. Dedukcja transcendentalna nie potrzebuje sylogizmu, dokonywa się samorzutnie przez wiedzę samą, bez oparcia się o byt wiedzy, bez posługiwania się formą logiczną. Gdy wiedza jest absolutna, (jak w Bogu), tj., gdy jest ściśle związana z istotą absolutu, wiedza ta jest, jak i absolut, sama przez się, i wtedy, w stanie tożsamości pierwotnej wiedzy i bytu, wiedza niewarunkowa sprawia w sobie samej rozdział między wiedzą i bytem i wprowadza tym sposobem do tożsamości pierwotnej różność, wynikającą z przeciwieństwa wiedzy i bytu.

Jeżeli Kartezjusz i Locke różnią się między sobą pod względem mocy umysłowej, to są równi pod względem umiłowania prawdy i oddania się jej służeniu. Dlatego w 300-ną rocznicę urodzin Locke'a winniśmy złożyć hołd pamięci tego poszukiwacza prawdy, o którym lady Masham pozostawiła nam takie świadectwo: „Będąc zawsze wiernym sługą, rzec można, prawie niewolnikiem prawdy, nigdy jej się nie sprzeniewierzył dla czegokolwiek innego i postępował za nią wyłącznie dla niej samej".

Paulin Chomicz.

*) Pedagogiczne poglądy Locke'a omówił W. M. Kozłowski w swej pracy: „Stanowisko Locke'a w historji pedagogiki w świetle współczesnych jej dążeń".

O „Czystej Formie"

(Dokończenie)

Jeśli jednak postać ta wykonana będzie realistycznie z imitacją plastyki rzeczywistego przedmiotu w danem oświetleniu, to nikt, nawet przy najlepszej dobrej woli, nie będzie widział w tej części obrazu nic oprócz wyobrażonej rzeczy i wrażenie to rozbije mu tylko całość obrazu, mogącego nawet poza tem stanowić pewną konstrukcję. Ale na określenie tego, gdzie zaczyna się wykonanie, uniemożliwiające wrażenie od Czystej Formy, nie mamy żadnego kryterjum. Jest to przekleństwem całej sfery sztuki, że kryterja objektywne w niej nie istnieją i jeśli ktoś dozna od obrazu Chełmońskiego lub sztuki Grubińskiego wrażenia czysto formalnego, lub jeśli ktoś będzie twierdził, że obraz Picassa, lub sztuka Szekspira są dla niego za realistyczne, nic na to nie będzie można poradzić. W wypadku sztuk scenicznych dołącza się jeszcze kwestja wystawienia. Jednak tak, jak obwodząc konturami kształty i niszcząc ich modelację, nikt nie zrobi ze źle skomponowanego obrazu Czystej Formy w malarstwie, tak samo żadne wystawienie nie uczyni z realistycznej sztuki Czystej Formy na scenie, ponieważ sam punkt wyjścia tych rzeczy i proces ich powstania był zupełnie różny, niż dzieł sztuki Czystej. Natomiast modelując odpowiednio kształty formistycznego obrazu i wystawiając realistycznie utwór formalny, można zepsuć ich istotę i uniemożliwić widzowi doznanie czysto estetycznego wrażenia.

Jest pewna nieprzekraczalna granica identyczności dzieła ze samem sobą, której nie może przekraczać interpretacja. Jeśli dana sztuka, czy n. p. utwór muzyczny traci na wartości wogóle przez realistyczną lub sentymentalną interpretację, nie stając się czemś dobrem w tych własnie wymiarach, dowodzi, że przeważa w nim element formalny i naodwrót. Interpretując nieodpowiednio można z doskonałej rzeczy formalnej zrobić realistyczną bujdę bez wartości, jak i dobry realistyczny dramat zamienić w formalny nonsens. Szczęśliwe są rzeźby i obrazy, bo zależą już tylko od nastawienia widza, ale z wierszami, utworami muzycznemi i sztukami można wyrabiać rzeczy wprost potworne, niszcząc całą ich wartość, a do tego jeszcze dołącza się problem stosunku do nich widzów i słuchaczy. Jeśli więc ktoś gwałtem będzie chciał widzieć w malarstwie zdeformowany, lub niezdeformowany świat zewnętrzny jako taki, a w teatrze wiernie odbitą, lub groteskową i karykaturalną rzeczywistość, ten nigdy nie dozna estetycznego zadowolenia.

Jest jeszcze jeden gatunek ludzi, którym nic nie wystarcza i jak twierdzę nic wystarczyć nie może. Podobnie jak ci, którzy nie są zdolni do przezwyciężenia rzeczywistości w sztuce, nie mogą oni doznać artystycznych wrażeń. Są to ci, którzy nie rozumiejąc Czystej Formy na równi z realistami, szukają w sztuce właśnie zdeformowanej rzeczywistości. Są to realiści a rebours. Takimi byli w teorji, a na szczęście nie zawsze w praktyce nasi futuryści. A więc patrząc na obrazy Picassa mówią, że zawiele widzą w nich normalnej natury i że za mało jest ona dziwaczna. Słuchając formistycznych wierszy żałują, że nie słyszą ryku jakichś niewyobrażalnych, metafizycznych bestji, a oglądając sztuki sceniczne, dość już dla innych życiowo nienormalne, nudzą się, ponieważ aktorzy nie są abstrakcyjnemi trójkątami, albo nie zjadają w oczach widzów pancerników i nie wkręcają się w stalowe płyty jak korkociągi. Tych zadowolnić jest równie trudno, jak realistów normalnych. Oba te gatunki ludzi nie szukają wrażeń artystycznych, tylko normalnych, lub nienormalnych wrażeń życiowych. O ile nie zadowolni ich cyrk, połykacze wężów i inni sztukmistrze, muszą oni pozostać nienasyceni. Może nasycą się kiedyś we śnie, o ile los pozwoli im przyśnić zadawalniającą potworność.

Przy sposobności można załatwić jeszcze jedno nieporozumienie. Skonstatowaliśmy, że dzieło sztuki musi powstać w związku z całością psychiki tworzącego, że wszystkie jego myśli, uczucia i wyobrażenia wchodzą w skład dzieła, jako element jako taki nieistotny, ale konieczny. Związek treści życiowych z Czystą Formą jest daleko ściślejszy w poezji i teatrze, niż w innych sztukach, ponieważ w sferach tych elementy uczuciowe nie są podane w formie nieokreślonej, jak w muzyce, a treść znaczeniowa daleko silniej akcentuje pierwiastki życiowe niż n. p. kształty wyobrażane na obrazach. Następnie wskutek tego, że na tle nienasycenia formą, rzeczywistość deformuje się dla celów kompozycyjnych, deformacja ta daleko silniej rzuca się w oczy w poezji i w teatrze jako logiczne i życiowo niezwykłe, a nawet bezsensowne kombinacje słów i sytuacji, niż n. p. dziwność uczuć w muzyce, a nawet deformacja w malarstwie. Oczywiście w teatrze, gdzie perwersja artystyczna jest tak ściśle związana z życiową, przezwyciężenie stanowiska życiowego jest najtrudniejsze. Jeśli tam, gdzie zwykliśmy oglądać najnormalniejsze życie zobaczymy coś, co choćby trochę od niego odbiega, a nie jest usprawiedliwione rzucającym się w oczy symbolizmem, łatwym do odgadnięcia, zaczyna większość palić się świętym ogniem oburzenia, mimo, że na scenie nie dzieje się nic bardziej zdrożnego, niż w setkach sztuk realistycznych. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę, jak potworne wprost bezeceństwa dzieją się w każdej prawie farsie francuskiej, którą wszyscy trawią z miłym uśmiechem, nie oburzając się wcale, musimy dojść do przekonania, że nawet pewna lekka życiowa deformacja n. p. w moich sztukach, jest niewinną igraszką w porównaniu z tem, co się dzieje w realistycznych wymiarach w normalnym teatrze, i że oburzenie widzów pochodzi ze złego nastawienia się i uprzedzenia. Przeciętny widz może znieść wiele, byle potworność życia przedstawionego nie odbiegała zbytnio od potworności codziennego dnia i pod warunkiem, że winni zostaną ukarani i że nie będzie tak zwanej apoteozy zbrodni, lub niemoralności. Ale w jak wielu sztukach normalnych pod bardzo cienką przykrywką niby — sprawiedliwości ostatecznej, według której grzech jest karany, a cnota nagrodzona, dzieją się poprostu świństwa, dla obserwacji których chodzą do teatru oburzający się na deformację moraliści. Jestem przekonany, że poziom moralny moich sztuk nie jest wcale niższy od przeciętnego poziomu teatru dzisiejszego. Ale pewna kategorja ludzi przychodzi na nie z gotowem uprzedzeniem. Uprzedzenie to doprowadza do tego, że zupełnie niewinne zdania są rozumiane kompletnie na wywrót, a szlachetne wypowiedzenia bohaterów przekręcane co do sensu. Jeśli z ust którego z nich padnie słowo: „Bóg", to samo już z góry uważa się za blasfemję, co uniemożliwia zrozumienie najprostszych stosunkowo myśli, nie zawierających żadnego świętokradztwa, a nawet będących jego przeciwieństwem. Siła uprzedzenia i nastawienie się z góry na nieprzyzwoitość i ohydę, doprowadziła do tego, że pewni ludzie w zupełnie niewinnych słowach słyszeli podobne do nich słowa nieprzyzwoite i ordynarne. To samo jest z tak zwanym programowym nonsensem. Ponieważ w proces powstawania nawet najbardziej abstrakcyjnej Czystej Formy muszą wejść uczucia i myśli danego poety i dramaturga, o ile nie wymyśla on swoich utworów na zimno, tylko tworzy pod nakazem pierwotnej nieokreślonej z początku koncepcji formalnej, każdy twór będzie zawierał cząstkę choćby jego poglądu na świat, będzie do pewnego stopnia podświadomie symboliczny, podobnie jak każdy, nawet pozornie najbezsensowniejszy sen, według teorji Freuda. Symbolizm ten, o ile nie jest programowy i nie narzuca się jako taki, zmuszając widza do odgadywania rebusów, uniemożliwiając bezpośrednie wrażenie artystyczne, nie przeszkadza bynajmniej Czystej Formie. Realizm w tekście i w wystawieniu, narzucający się bezpośrednio w chwili stawania się na scenie, wyklucza jednoczesne pojmowanie artystycznej konstrukcji, na tej zasadzie, że nie mogą dwie różne rzeczy być treścią naszego trwania w jednym i tym samym punkcie czasu.

O treści symbolicznej można pomyśleć po ukończeniu spektaklu, kiedy nie przeszkadza ona odbieraniu wrażeń.

Podejmuję się opowiedzieć każdą moją sztukę, jak to mówią „własnemi słowami" i wyjaśnić związek jej z całością moich przekonań życiowych, społecznych i artystycznych.

Kiedyś w Warszawie u Szyfmana grana była moja jednoaktówka p. t. „Nowe Wyzwolenie".

A propos tego, wytłumaczyłem komuś sztukę tę co do treści życiowej po raz pierwszy, w 7 lat po jej napisaniu. Na drugi dzień usłyszałem prawie identyczną interpretację od osoby, którą widziałem po raz pierwszy w życiu. Ale nawet, gdy interpretacje będą różne, zależnie od treści psychicznych danego indywiduum, nie to nie ubliża Czystej Formie danego utworu. Każdy tłumaczy daną rzecz, niezupełnie jednoznaczną w swej treści, według własnego światopoglądu, według tych pierwiastków, które w nim przeważają.

Ponieważ twierdzę, że tworzący artysta nie powinien krępować się sensem logicznym i życiowym w konstruowaniu swego dzieła, jestem posądzony odrazu o programowy nonsens jako taki, co zwalnia nawet widza ze skontrolowania, czy jego twierdzenie jest słuszne.

Z nieartystycznego nastawienia widzów pochodzą głównie te nieporozumienia, a także może z tego, że sztuki moje są narazie bardzo jeszcze obciążone treścią życiową i symboliczną i dalekie są od tej abstrakcyjności formy, którą chciałbym osiągnąć. Zależy to oczywiście i od wystawienia, które nie zawsze tak jest wystylizowane, aby pierwiastki życiowe mogły być całkowicie wchłonięte we wrażenie artystyczne od całości konstrukcji. Przypuszczam, że względne powodzenie sztuki p. t. „Jan Maciej Karol Wścieklica" polega na różnych drugorzędnych nieporozumieniach. Pomijam to, że jest ona stosunkowo najbardziej ze wszystkich moich rzeczy życiowo obciążona, czyli z mojego punktu widzenia najmniej może udana w samem wykonaniu. Jednak nie była ona pisana kompromisowo z obliczeniem na powodzenie, o co niektórzy wrogowie mnie posądzają. Jakkolwiek dopuszczam kompromis w malarstwie, robiąc prawie naturalistyczne portrety, co jednak nie jest bez korzyści ze względu na umiejętność rysunku i może utrzymywać w „formie" w znaczeniu sportowem, to jednak kompromis ten uważam za nieporównalnie słabszy od kompromisu w teatrze, który musiałbym zakwalifikować jako czyn społecznie nieuczciwy.

S. I. Witkiewicz.

Piastyka zagranicą

Z okazji stulecia urodzin ojca impresjonizmu E. Maneta, Paryż zorganizował bardzo bogatą wystawę jego spuścizny w Musée de l'Orangerie.

* * *

Trzydziestoletnią działalność Picassa zsyntetyzowano chronologicznie w kilku wielkich salach galerji G. Petit'a.

* * *

U Bernheima dobiega końca wystawa „Nowoczesnych Prymitywów", na której zwracają uwagę nazwiska takie, jak H. Rousseau i M. Utrillo.

* * *

Na skraju bulońskiego lasku odsłonięto pomnik, który Paryż postawił Cl. Débussy'emu. Autorami pomnika są Jan i Joel Martel, oraz architekt Burkhalter.

* * *

T-wo Przyjaciół Sztuki w Madrycie zorganizowało wystawę obejmującą współczesnych Goyi malarzy hiszpańskich, dotychczas prawie wcale nieznanych. Dzięki temu nauka poznała bardzo interesujące tło twórczości tego dziwnego artysty.

* * *

W Watykanie ukończono już urządzenie gmachu Nowej Pinakoteki. Pomieściła ona przeszło pół tysiąca arcydzieł sztuki, przechowywanych dotychczas w warunkach bardzo niekorzystnych.

* * *

Znakomity malarz niemiecki Max Slevogt ukończył monumentalny fresk p. t. „Golgota" w kościele protestanckim w Ludwigshafen.

* * *

W ogromnym lokalu Kunstvereinu w Hamburgu zorganizowano reprezentacyjną wystawę nowoczesnej sztuki angielskiej.

* * *

Edy Legrand, sławny wśród anglosasów ilustrator, ma obecnie w Londynie zbiorową wystawę swoich prac. Nie jest to zwykły narrator rysunkowy, ale rasowy malarz, dla którego dramatyczna ekspresja światłocienia jest osią każdej kompozycji.

Literatura zagranicą

Rękopis Stendhala z podróży do Włoch. W „Nouvelle Revue Française" ukazują się niedrukowane fragmenty rękopisu Stendhala o podróży do Włoch. Rękopis ten jest uzupełnieniem książki Stendhala pt. „Rome, Naples et Florence".

„Histoire de France depuis la Guerre"— oto tytuł książki, napisanej przez jednego z młodych powieściopisarzy francuskich Jana Prévost. Książka ta jest obrazem wypadków rozgrywających się we Francji od zakończenia wojny po dzień dzisiejszy.

Ernest Glaeser wydał nową powieść. Nosi ona tytuł: „Das Gut in Elsass".

Dwie książki o Niemczech. We Francji ukazała się książka napisana przez Ir. Jouglet pt. „Frieda ou le voyage allemande". Jest to studjum o Niemcach współczesnych, podane w ciekawej formie literackiej, jako opis podróży pieszej po prowincji niemieckiej w towarzystwie Friedy (rodzaju nowoczesnej Beatrix). Druga książka, która ukazała się w Londynie, (nakł. firmy Allen and Unwin) jest to praca znanego krytyka angielskiego W. Rose'a poświęcona głównie współczesnej powojennej literaturze niemieckiej.

Najlepszą francuską książką o Pascalu jest zdaniem krytyki paryskiej studjum Leona Brunschviega o tym myślicielu. Jest to raczej portret duchowy filozofa, niż właściwa biografja.

Goethe w Japonji. Ostatnio na rynku księgarskim w Tokio ukazał się przekład „Cierpień młodego Wertera" Goethego. Tytuł brzmi po japońsku: „Weruteru no Kanashimi".

Wpływom literatury francuskiej na twórczość Rilkego poświęcona jest książka M. Margi Bauer pt. „Rainer Maria Rilke und Frankreich". Komentuje ona m. in. szeroko wpływ Rodina, Gide'a i Valery'ego na twórczość wielkiego poety niemieckiego.

„Admiratorzy Anatola France'a", oto nazwa nowego zrzeszenia literackiego, powstałego w Paryżu na wzór już istniejących podobnych stowarzyszeń, jak np. Klub Stendhalistów, Przyjaciele Marcele-go Prousta, Towarzysze Chateaubrianda, Przyjaciele Zoli itp.

Praca a czyn twórczy

W Nr. 10 „Zetu“ zamieściliśmy artykuł polemiczny K. Zielińskiego pt. „Błogosławieństwo pracy“, w którym autor wyraża rozczarowanie i niepokój o podstawy ideologiczne naszego ruchu z powodu stanowiska zajętego przez nas w artykule wstępnym nru. 8-go.

Otóż ów artykuł wstępny („Bałwochwalstwo pracy“), miał inne przeznaczenie niż sądzi Zieliński. On bowiem oczekiwał, że przeprowadzimy w „Zecie“ dyskusję z tezami jego artykułu pt. „Problem pracy u Cieszkowskiego“; my zaś poprzestaliśmy na kilku uwagach na jego temat zamieszczonych w nrze 7-ym, w przekonaniu, że indywidualny światopogląd Zielińskiego, ma wiele cech wspólnych z naszemi poglądami i tylko niektóre jego szczegóły budzą zastrzeżenia.

Potraktowaliśmy więc ów artykuł jedynie jako punkt wyjścia do podjęcia krytyki ideologji nie K. Zielińskiego, lecz całego ruchu syndykalistycznego wśród młodzieży demokratycznej, — pod którym Zieliński wprawdzie się podpisuje, ale którego założenia są (sądząc z artykułów ideologicznych szeregu czasopism akademickich) bardziej symplicystyczne i nieuzasadnione, niż on sądzi. Zieliński bowiem uważa za typ społeczny przyszłej ery człowieka twórczego — i utożsamia z nim pojęcie człowieka pracy. Odwrotnie zaś nasi syndykaliści widzą typ taki w człowieku pracy, zaś pojęcie człowieka twórczego przyjmują raczej niechętnie i traktują jako ozdobnik retoryczny (może i dlatego, że nie wyobrażają sobie jak należy właściwie rozumieć tego twórczego człowieka). W założeniach tego ruchu jest supremacja, czyli rząd świata pracy — pojętego nie jako ludzkość świadomie tworząca siebie i swe dzieje, lecz jako organizacja pracowników przeciw pracodawcom; przyczem za pełnych ludzi, jedynie godnych kierowania losami świata, uważa się tych pierwszych. Jak widzimy, jest to fikcja t. zw. rzeczywistości gospodarczej, świat przez marksowskie okulary.

Ta nieszczęsna sugestja marksowska, która okaleczyła i skurczyła całą nieskończenie zróżniczkowaną rzeczywistość życia ludzkiego, dostrzegając w niej tylko motywy ekonomiczne i pozbawiając znaczenia wszelkie inne cele ludzkie poza dobrobytem materjalnym — wsiąkła tak głęboko w świadomość zbiorową, że trzeba się z nią liczyć. Psychika społeczeństw jest spaczona, widzenie rzeczywistości pomniejszone i zacieśnione wprost karykaturalnie. Dlatego niech się Zieliński nie łudzi, że czytelnicy jego artykułów, gloryfikujących świat pracy i erę Parakleta, której ideałem najwyższym ma być praca — rozumieją tę erę inaczej jak przez zwycięstwo pracowników, klas nieposiadających, nad kapitałem i organizację nowego porządku gospodarczego. Aby wybić z głów ludzkich tę jednostronność, tę dogmatykę socjalistyczno-komunistyczną, musiałby on unikać jak ognia starych, gdzieindziej nadużytych terminów, do których należy również termin: świat pracy; przeciętny czytelnik bowiem orjentuje się naprzód po skorupce, zanim dotrze do jądra, wrażliwy jest przedewszystkiem na terminologję i ornamentykę zewnętrzną. Nic nie pomoże używanie słów takich, jak człowiek twórczy, era czynu, ład moralny, bo jeśli się na nie nie położy wyłącznego nacisku, będą one wciąż podporządkowywane kategorjom ekonomicznym. Nowy ład moralny będzie zawsze rozumiany jako inny, sprawiedliwszy podział dochodu społecznego, a nie jako wychowywanie nowego typu człowieka rozwijającego w sobie absolutną samorzutność rozumu.

Trzeba ludziom zedrzeć bielmo z oczu, pokazać możliwość zupełnie innego pojmowania świata, społeczności, własnego życia, trzeba otworzyć przed nimi nowe perspektywy, o jakich dotąd nie mieli nawet wyobrażenia. Trzeba wytłumaczyć im, że ponad chaosem współczesnym przejść mogą tylko po moście, zbudowanym przez rozum twórczy, przez ducha; że cele człowieka i ludzkości są zupełnie inne, niż to wmawiano narodom w ciągu ostatniego półwiecza, a nawet w ciągu całej dotychczasowej przeszłości historycznej.

Ale przed wytyczeniem drogi ku przyszłej erze, należy naprzód sprostować spaczony system pojęć społecznych i przeprowadzić wyraźne rozgraniczenie między celami moralnemi (duchowo - rozumowemi), a celami fizycznemi (zmysłowo-gospodarczemi) istot ludzkich. Panuje bowiem — jak pisałem w „Bałwochwalstwie pracy“ — „chaos w dziedzinie podstawowych pojęć, bez których precyzji — określenie jakiejkolwiek rzeczywistości społecznej nie jest możliwe“.

Niestety samo już wstępne rozgraniczenie, dokonane tamże, było „niespodzianką“ dla Zielińskiego, który ujrzał w niem powrót do postawy analitycznej wbrew działalności ideowej „Zetu“ podjętej w imię syntezy. Zapomniał on widocznie, że samo pojęcie syntezy oznacza skojarzenie dwu zasad przeciwnych: aby zatem mogła powstać synteza muszą istnieć koniecznie dwa terminy. Już w logice różność — to dwoistość rozszczepiona, a tożsamość — to dwoistość pogodzona, sprowadzona do jedności.

Ponieważ umysłowość obozu postępowego (do którego zaliczam syndykalistów), nasycona światopoglądem marksowskim i pozytywistycznym, nie rozróżnia dwu terminów, nie uznaje dwoistości celów życia ludzkiego, lecz tylko jeden termin, jeden cel, czysto fizyczny (powszechny dobrobyt gospodarczy) — era syntezy, era Parakleta, wyglądać będzie w jej mniemaniu jako sprowadzenie rzeczywistości człowieka do tego jednego terminu. Nie będzie to więc synteza, lecz przekreślenie problematu transcendentnego jaki dał ludzkości Chrystus w postaci idei nieśmiertelności, bytu absolutnego, mającego w sobie samym warunek swej rzeczywistości. Człowiek zostałby w ten sposób określony z powrotem, tak jak w odległej starożytności, jako istota fizyczna tylko, a nie duchowa.

Aby umożliwić zmaterjalizowanej psychice współczesnej powzięcie trudnej idei syntezy, połączenia **celów absolutnych** ludzkości z jej **celami względnemi** — trzeba tedy wyraźnie oddzielić i ukazać powyższe dwa terminy. Określając **pracę** jako miernik wartości człowieka w jego funkcji istoty fizycznej zaś **czyn twórczy** jako miernik wartości człowieka w jego funkcji istoty duchowej — miałem właśnie na celu założenie i uwydatnienie stosunku między temi dwoma naturami. Synteza ich — to samo życie ludzkie, które jest równocześnie: 1) stwarzaniem sobie celów i 2) procesem ich realizacji. Pisałem zaś już uprzednio, że stwarzanie celów to czyn twórczy, a proces realizacji to praca. Dlatego praca „nie może być **celem sama w sobie**; jest ona bowiem tylko procesem realizacji użyciem pewnej ilości trudu dla osiągnięcia jakiegokolwiekbądź celu“.

Uznanie pracy za cel sam w sobie, za najwyższy ideał ludzkości — to podstawienie środka w miejsce celu, to dziwaczne i groźne przypuszczenie, że cele ku którym ludzkość zmierza (np. moralność, sprawiedliwość, wiedza, byt absolutny) są sprawą drugorzędną i nieistotną, zaś praca jest absolutem, czemś godnem najwyższego kultu, poprostu Bogiem. A przecież pracę wykonywać może nietylko człowiek, istota rozumna, lecz i zwierzę, a nawet martwa maszyna. Czyż nie jest bałwochwalstwem uwielbienie i postawienie na ołtarzu abstrakcyjnej, mechanicznej funkcji? Czy nie jest to degradacją i odrzuceniem wieczystego ideału Boga - Człowieka, stwórczego rozumu absolutnego?

W stosunku logicznym **środka do celu**, pierwszy podporządkowuje się drugiemu, nie neguje to jednak jego rzeczywistości i ważności. Oba te terminy są równorzędne, mimo, że cel warunkuje środki, posługując się niemi. Otóż w takim stosunku środka do celu znajdują się: ciało i duch człowieka. Analogiczny jest stosunek pracy do czynu twórczego (albo lepiej: **rozumu twórczego**). Obydwa zaś — praca jako środek i czyn twórczy jako cel — utożsamiają się w życiu świadomem człowieka; ono jest warunkiem i polem ich współdziałania, w niem dokonuje się synteza.

Mógłby jednak Zieliński zarzucić mi wobec tego, że uznając równorzędność pracy i rozumu twórczego (jako środka i celu) niesłusznie wysuwam na czoło ten drugi, jako ideał ery Parakleta. Aby uprzedzić podobny zarzut, odpowiadam nań z góry:

1) Era jest częścią historji; historja zaś to proces zbiorowego dążenia ku jakimś — odczuwanym lub pomyślanym — celom.

2) A zatem warunkiem dziejów są cele, problematy; tylko cele mogą być ideałami i prawdami powszechnemi epok historycznych.

3) Ponieważ zaś rozum twórczy jest celem, a praca środkiem, więc tylko rozum (czyn) twórczy może być ideałem nowej ery; praca bowiem jest tem co **jest**, a rozum twórczy — tem co być **powinno**.

Miałem przeto prawo wyrazić się, że „duch albo będzie zdeptany, albo musi zapanować nad ciałem“. Panowanie ducha nad ciałem jest wszak analogiczne do panowania celu nad środkiem, czyli do uwarunkowania środków przez cele.

Z wywodu powyższego wynika jasno, że nie zrzekłem się syntezy na rzecz analizy, lecz uwypukliłem oba terminy stosunku, aby obydwa zostały uwzględnione i aby synteza ich dokonała się w sposób właściwy. Trzeciego, syntetyzującego terminu nie wymieniłem, ponieważ rozumie się on sam przez się: jest nim samo życie ludzkości, sam **człowiek**.

Tak właśnie rozumiał i Cieszkowski przyszłe dzieje. Wskazuje na to znany jego podział historji na 3 epoki: Bytu, Myśli i Czynu — oraz jego definicja czynu, jako syntezy substancjalnej Myśli i Bytu. Historjozofja jego określa dzieje, jako dążność ku realizacji immanentnej celów **transcendentnych**; znaczy to, że czyn społeczny Ery Parakleta ma być wprowadzeniem w życie i osiągnięciem przez ludzkość w sposób bezpośredni tych wysokich ideałów, jakie wyznacza jej filozofja (wiedza absolutna), religja (byt absolutny) i sztuka (twórczość absolutna, niczem nieograniczona). Pamiętajmy, że podług Cieszkowskiego, ludzkość miała w 1-szym okresie historycznym Przeczucie swych zadań i celów, w 2-gim Świadomość tych zadań i celów, w 3-cim zaś ma je przez Czyn dopełnić i zdobyć. Kto się więc powołuje na Cieszkowskiego, nie może przemilczeć problematów transcendentnych, jakie założył Chrystus, gdy mówił: „Bądźcie doskonali jak Ojciec wasz w niebiesiech“; byłoby to bowiem przekreśleniem 2-giej epoki uznaniem jej za niepotrzebną. Gdyby cele fizyczne były wystarczające, nie powstałaby potrzeba oderwania się od nich i zwrócenia oczu „ku zaświatom“.

Ideał 3-ciej ery Cieszkowskiego, to dźwignięcie ludzkości ku pełnej rzeczywistości Ducha (cel odmienny od ideału dobrobytu gospodarczego, jaki wyznaje się dziś powszechnie). Trzecie, najwyższe imię Boga (patrz „Ojcze nasz“ Cieszkowskiego) — to Duch Święty. A zatem era trzecia ma być dążeniem całej ludzkości ku osiągnięciu Ducha (samorzutności absolutnej rozumu) i Świętości (najwyższej doskonałości moralnej).

Mówiąc o oderwaniu się od życia doczesnego w 2-giej erze miał Cieszkowski na myśli bierną obojętność średniowiecznego chrześcijaństwa wobec spraw tego świata i oczekiwanie na byt pozagrobowy — w nieświadomości, że właśnie ziemskie urządzenia społeczne mają być czynnie przetworzone pod kątem widzenia celów absolutnych. Czyn ery Parakleta ma usunąć rozdźwięk między obecnemi formami życia społecznego, a postulatami transcendentnemi, stawianemi człowiekowi przez religję. Ma on podjąć olbrzymią reformę, ustanawiając ład moralny, umożliwiający ludzkości czynne przebóstwienie się, rozwinięcie w niej wszystkich sił twórczych samorzutnego rozumu.

Prawdą jest, że w trzeciej erze człowiek winien iść nie **obok** życia, ani **pomimo** życia, lecz „poprzez życie, w niem mieć cel bezpośredni“. Ale przez jakie życie? Chyba tylko przez życie **twórcze**, dążąc świadomie do wyzwolenia ducha z mocy przyrody, z warunków fizycznych, zwierzęcych — do **hipostazy** swego bytu. Nie może być w przyszłości celem naszym ani sam **byt** (bez udziału wiedzy, ducha), ani też sama **wiedza**, czyli jakieś zaświatowe, abstrakcyjne Ja pozbawione bytu.

Natomiast może i powinna być tym celem **tożsamość wiedzy i bytu**, t. zn. stworzenie temu samorzutnemu Ja — łaknącemu nieskończoności, wolności i mocy twórczej — bytu harmonizującego z aspiracjami naszej wiedzy absolutnej. Takiego bytu dziś niema, **ludzkość** musi go sobie dopiero stworzyć. A stworzyć to czego niema, można tylko przez czyn twórczy.

Ale tu zapyta mnie znów Zieliński co to jest czyn twórczy? Zarzucił mi bowiem, że nie podałem jego definicji. Otóż definicję podałem, skoro jednak wydaje się ona nieścisła, uczynię to raz jeszcze. A więc:

1) Czyn twórczy to akt samorzutności rozumu, znajdowanie warunków i motywów działania w sobie samym, a nie w okolicznościach zewnętrznych,

2) Czyn twórczy zachodzi tam, gdzie nic nie jest nam dane, a wszystko stwarzamy sobie sami — zarówno cele, jak środki do ich osiągnięcia.

Zaspokajanie celów fizycznych tj. potrzeb, do których zmusza człowieka przyroda—odbywa się przez pracę; natomiast osiąganie celów moralnych, gdzie człowiek sam ma odkryć i wytworzyć warunki, umożliwiające mu spełnienie zadań istoty ponadfizycznej, rozumowej, transcendentnej — nastąpić może tylko przez czyn twórczy (np. poznanie, czyli stworzenie **prawdy**, dla samej prawdy, lub działanie, stworzenie **dobra**, dla samego dobra).

Zieliński myli się, jeśli sądzi, że w artykule „Bałwochwalstwo pracy“ potępiłem sam problem pracy, jako taki. Poddałem tam krytyce właśnie „ustosunkowanie się do problemu pracy“, a nie „wysuwanie go wogóle“.

Również uznanie pracy za miernik wartości w dziedzinie życia gospodarczego (fizycznego), nie był to „ochłap rzucony z musu w kierunku popularnego problemu“, lecz konsekwencja światopoglądu filozoficznego, który głosimy. Jeżeli Zieliński sądzi inaczej, niech przeczyta Wrońskiego „Odezwę do narodów cywilizowanych“, specjalnie zaś tablicę, szematyzującą system **dynamiczny** ekonomji społecznej, gdzie praca, jako czynność ekonomiczna człowieka jest elementem naczelnym i podstawowym całego mechanizmu praw, ustanowionych przez przyrodę dla zapewnienia ludzkości stanu powszechnego dobrobytu.

Nie jest też prawdą, że zakwestjonowałem pewne tezy artykułu Zielińskiego, dlatego, że „brzmiały burzycielsko, żądając zmiany struktury społecznej“, byłoby to wielką niekonsekwencją, gdyż my sami chcemy kardynalnej zmiany struktury społecznej, czyli moralnej całego świata cywilizowanego. Uczyniłem to tylko z powodu omyłki w założeniach ideologicznych, popełnionej przez Zielińskiego, nie dziwnej zresztą, skoro tyle wybitnych umysłów nie mogło się do dziś wyzwolić z pod jej sugestji. Gdyby nie genjalne odkrycie Wrońskiego, odróżniające już nie na drodze religijnej, lecz naukowej, dwoistość warunków bytu człowieka (warunków fizycznych i moralnych), z której to dwoistości ma się ludzkość w trzeciej erze historycznej wyzwolić — trudne to zagadnienie pozostałoby nadal nierozwiązalne, wieczystą też pozostałaby walka antytetyczna między wyznawcami jednej lub drugiej tylko z tych dwu natur człowieka. Te dwie zasady, sprowadzone do funkcji **elementów człowieka** to: 1) czynność **warunkowa** i 2) czynność **niewarunkowa**, albo w terminach filozoficznych heteronomja i autonomja istoty rozumnej. To odkrycie Wrońskiego, którego doniosłość nie jest jeszcze doceniana, ma wagę równie decydującą w dziedzinie praktycznej, jak odróżnienie wiedzy i bytu, jako elementów rzeczywistości w dziedzinie spekulatywnej —przez metodę transcendentalną (krytyczną) Kanta. Nieuwzględnianie tego odkrycia cofa nas **wstecz**, ku tradycyjnym błędom filozofji społecznej, tak jak nieuwzględnianie krytycyzmu kantowskiego cofa naukę wstecz ku metodzie doświadczalnej lub dogmatycznej.

Czynność niewarunkowa rozumu twórczego, samego w sobie — **to nie praca**. Utożsamianie tych dwu funkcyj jest błędem. Praca powstaje dopiero przez pokonywanie oporu, przez walkę z warunkami bezwładnemi, fizycznemi, w nas lub poza nami — z istniejącemi już przesądami, obyczajami, złemi skłonnościami, urządzeniami społecznemi. Ilość trudu włożonego w przełamanie tych wszystkich oporów to praca. Rozumie się samo przez się, że ponieważ żyjemy w świecie rzeczywistym, duchowo - fizycznym, gdzie Myśl i Byt przenikają się nawzajem, — praca i czyn twórczy nie dadzą się rozdzielić absolutnie. Dopełniają się, tak jak dopełnia się byt z wiedzą w powstawaniu rzeczywistości wszechświata. Ale całkowite ich utożsamienie jest również niemożliwe.

Wbrew przypuszczeniu Zielińskiego nawet **praca celowa** nie zawsze jest czynnością twórczą. Jeśli bowiem nie ja zakreśliłem cele, lecz wyznaczył mi je czynnik zewnętrzny, przyroda, lub inny człowiek, — to praca moja, choć w rezultacie zmierza do celu, nie jest twórczą. Czyn twórczy odbył się już poza mną, ja go tylko realizuję.

Nie uwłacza to godności pracy. Jest ona przecież środkiem, a bez środków nie osiąga się celów. Trzeba tedy uczcić walor pracy, ale też zarazem ukazać ludzkości decydującą wagę **motywów** pracy; trzeba jej też przypominać codzień, uparcie, że motywów tych winna szukać nie w swoich potrzebach fizycznych, lecz w wolnym, samorzutnym rozumie. Gdy to uczyni, okaże się, że i potrzeby fizyczne zostaną z łatwością zaspokojone i wszystkie rebusy gospodarcze, od których trzeszczą dziś najtęższe łby ludzkie staną się igraszką dziecinną. To miał niewątpliwie na myśli Chrystus, gdy mówił: „Troszczcie się najprzód o Królestwo niebieskie, a ta reszta będzie wam przydana“.

Na zakończenie jeszcze parę uwag z innej beczki:

Nie rozumiem dlaczego gloryfikacja czynu twórczego wydaje się Zielińskiemu godną „świętobliwego Ojca z Akcji Katolickiej“. Utożsamiałem wyraźnie i wielokrotnie czyn twórczy z rozumem samorzutnym: Ojcowie z Akcji Katolickiej apoteozują chyba raczej wiarę, niż rozum twórczy.

Wogóle uczuciowa niechęć do katolicyzmu, wyraźna w artykule „Błogosławieństwo pracy“, świadczy, że autor jego uznając marksizm i katolicyzm za elementy antytetyczne, przekłada jednak pierwszy nad drugi: taka postawa uniemożliwia syntezę.

Postawa ta skłoniła Zielińskiego do szyderstw z artykułu „Chrześcijaństwo-religja rozumowa“, które należy uważać za niewłaściwe. Mogę go zapewnić, że nie zrozumiał on o co chodzi. Artykuł ten nie miał na celu „błagonadiożnego“ przytaczania cytatów z Pisma Świętego, lecz zwrócenie uwagi społeczeństwa, które o istocie chrystjanizmu ma bardzo słabe pojęcie, na cechę czysto rozumową tej religji. Cecha ta była przez kler katolicki zbyt mało podkreślana, co w czasach dzisiejszych, odwołujących się przedewszystkiem do pewności wiedzy, musiało pozbawić chrystjanizm wpływu na umysły, wpływu godnego jego transcendentnej, filozoficznej głębi.

J. Braun.

Ostatni poeta

„Il. Kurjer Codzienny“, z dn. 12 września br. wydrukował interesujący artykuł, czy raczej impresję W. Lecha pt. „Ostatni poeta“. Jest to wspomnienie o Aleksandrze Błoku, napisane z okazji 11 rocznicy jego śmierci. Autor zetknął się ze słynnym poetą kilkakrotnie: w roku 1916 mieszkał razem z nim we dworze poleskim: Błok był wówczas członkiem sztabu t. zw. Drużyny Inżynierskiej. Charakterystyka poety, podana przez Lecha, daje nam plastyczny obraz tej ciekawej postaci. jego trybu życia, zachowania się, stosunku do wojny, do Rosji, do Polski, którą znał dobrze itd.

„Żaden z poetów rosyjskich nie zadzierzgnął takich węzłów z Polską, jak Błok. Ojciec jego był profesorem uniwersytetu w Warszawie... Aleksander Błok kilkakrotnie odwiedzał ojca w Warszawie, a po śmierci ojca w grudniu 1909 r. pozostawał w Warszawie dłużej. Warszawa wywarła na poecie wrażenie niezatarte, wstrząsające...“

W Warszawie zrodziła się niewątpliwie w jego umyśle koncepcja wielkiego poematu, który ma obrazować życie Rosji z końca XIX-go wieku, a którego trzecia część ma za przedmiot Polskę i Warszawę. Mówi tam poeta o Warszawie, że „początkowo wydaje się ona zapłotkiem Rosji, a następnie jest powołana do pewnej misji mesjanistycznej, w związku z losem zapomnianej przez Boga i rozdartej Polski“.

Bohater poematu rodzi się z ojca Rosjanina i matki Polki. Pisze o tem Lech temi słowy:

„Opętańczy duch w zetknięciu się z polską jaźnią nabiera siły, spoistości, z bezkształtnej protoplazmy przeistacza się w siłę świadomą i twórczą“.

Autor artykułu opisuje również spotkanie swoje z Błokiem w Piotrogrodzie po rewolucji 1917 r., a potem znów po rewolucji październikowej na jakimś mityngu poetyckim. W sierpniu 1921 r. Błok umiera.

„Dla wielu z wieścią o śmierci Błoka jakby zgasło światło dnia. Bo nie była to śmierć jednego z poetów, wielkiego poety. To była śmierć ostatniego poety tego wielkiego kraju, który nazywał się Rosją...“

„Błok był objawem ducha, majakiem jego nadprzyrodzonego nurtu. W życiu sowieckiem, zdławionem w trybach tępego sekciarskiego utylitaryzmu, uschło źródło tego nurtu. Poeta nie mógł żyć, bo poezja umarła“.

„Nie była to śmierć odosobniona.

„Skończył później samobójstwem „huligan“, syn chłopski, Jesienin, zastrzelił się Andrzej Sobol. Ginie z rąk czerezwyczajki Gumilew, kończy się Briusow, jako profesor „rymu“ w komunistycznej akademji w Moskwie. Większość poetów emigruje...“

Ciekawa była reakcja elity rewolucyjnej i intelektualnej Rosji na znany poemat Błoka „Dwunastu“ (tłumaczony na kilkanaście języków m. i. japoński i hebrajski):

„Władza sowiecka widzi w poemacie apologję czerwonej rewolucji — część inteligencji i artystów z Mereżkowskim na czele uważają go za naigrawanie się ze zgnębionej ludności, za barbarzyński nietakt — inni znowu uznają ją za satyrę na bolszewizm“.

Nowe dramaty Pirandella

W turyńskiej „Gazetta del Popolo“ ukazał się wywiad, który miał Silvio D'Amico z Luigi Pirandellim.

Czytamy tam m. in.:

„Oto parę dzieł Pirandella, które wkrótce ujrzą światło dzienne. „Znaleźć siebie“, dramat ukończony w tych dniach, jest historją młodej aktorki. Wyrzeka się ona wszelkich pokus świata, jakie ją otaczają. Pozostała zawsze czystą, a raczej zawsze wzbraniała się żyć życiem kobiety; znała natomiast tylko życie swoich teatralnych kreacyj. Trwało to do dnia, w którym spotkawszy człowieka zdrowego i prostego, obcego sztuce — odkryła istnienie innego, własnego życia.

Tytuł innego utworu, którego treść Pirandello po raz pierwszy nam wyjawił, będzie brzmiał: „Gdy jest się kimś“. Dramat ten (miał być ukończony w połowie września) ma za bohatera sławnego człowieka, wielkiego pisarza, który doszedł już do pełni swej dojrzałości i do granicy zarazem wyczerpania swoich sił twórczych. Dramat tego artysty polega na przeciwieństwie między wizerunkiem, jaki wytworzył o nim podziw publiczności i krytyków — a nowemi, tajemnemi i niespokojnemi aspiracjami jego duszy.

Podczas gdy ludzie kontemplują jego artystyczną fizjognomję — rysy są już wykończone, określone i nieruchome — on sam, naodwrót, pragnie niepowstrzymanie wyrwać się z tych formuł, odnowić się i stać się „innym“, jako człowiek i jako artysta.

Okazją do tego upragnionego wyrwania staje się spotkanie z młodą kobietą, do której życie zbliża go niespodzianie. Otoczony gromadą pasożytów i wielbicieli, zazdrosnych strażników jego „wizerunku“ — doświadcza on przy zetknięciu się z kobietą młodą i niespokojną — pragnienia powtórnej młodości.

I oto pod innem nazwiskiem pisze dzieło wybitnie nowe, rewolucyjne, które staje się zarzewiem walki na polu sztuki. Młodzi egzaltują się niem: w nowym, nieznanym pisarzu widzą swojego poetę: przeciwstawiają go natychmiast jemu samemu, mistrzowi, który już dojrzał i „przeszedł“.

Po całym szeregu perypetyj ostrych i groteskowych zarazem, wybucha prawdziwa tragedja — gdy młodzi wielbiciele, przyszedłszy, aby odkryć incognito swego poety, dowiadują się, że jest on starym, zdetronizowanym bożkiem.

„Oto jest sława — dorzuca sarkastycznie Pirandello — sława, dla której człowiek, o trzydzieści lat zapóźno, poświęcił głębokie racje swego życia“.

Polonica zagranicą

„Przechodzień“ Katerwy w Finlandji. Fiński Teatr Narodowy w Helsinki wystawi w bieżącym sezonie sztukę B. Katerwy „Przechodzień“. Dyrektorem Teatru Narodowego jest znany przyjaciel Polski i wielbiciel naszej literatury dramatycznej Eino Kalima.

„Attitudes et Destinées“ — oto tytuł książki wydanej przez prof. L. M. Zaleskiego, nakładem wydawnictwa „Les Belles Lettres“. Książka ta zawiera charakterystyki: Mickiewicza, Słowackiego, Kasprowicza, Żeromskiego, Berenta, Reymonta, Hoene - Wrońskiego i in.

Książka o królowej Jadwidze („Jadwiga, Queen of Poland“) pióra Charlotty Kelog, ukazała się na półkach księgarń amerykańskich. Jest to powieść historyczna, opisująca dzieciństwo Jadwigi, romans z Wilhelmem, poślubienie Jagiełły. Równocześnie ukazała się tamże książka Machray'a p. t. „Poland 1914 — 1931“, opisująca dzieje polityczne i gospodarcze Polski na przestrzeni ostatnich lat 17-tu.

Teatr Narodowy w Zagrzebiu ma wystawić w bież. sezonie teatralnym „Balladynę“ Słowackiego.

PROSIMY P. T PRENUMERATORÓW O ODNOWIENIE PRENUMERATY ZA II PÓŁROCZE. ZWRACAMY UWAGĘ ŻE PRZESŁANIE TEJ KWOTY BEZ ZWŁOKI UŁATWIA NAM NIEPOMIERNIE PRACĘ REDAKTORSKĄ I ADMINISTRACYJNĄ, TAK TRUDNĄ W OBECNYCH WARUNKACH.

Dwie opinje o Jeansie

Słynny astrofizyk angielski Sir James Jeans napisał kilka książek, w których podaje on w popularnym wykładzie przegląd najnowszych zdobyczy naukowych w dziedzinie astronomji. Książki te cieszą się wielką poczytnością nietylko w ojczyźnie autora, ale i w innych krajach (ostatnio i u nas ukazały się niektóre z nich w przekładzie), dzięki temu, że w osobie ich autora walory uczonego złączyły się szczęśliwie z doskonałem opanowaniem formy literackiej.

Książki Jeansa mają liczne zalety, ale i jedną wielką wadę: Pomijają one mianowicie — czy raczej zapoznają — zasadę celowości w budowie świata. Kardynalna ta zasada, którą wysunął Leibnitz pod mianem harmonji przedustawnej (diversitas identitate compensata), a rozwinął i ugruntował genetycznie Wroński w swem Prawie Stworzenia, i jego zastosowaniach — zdaje się być niezbędną do pełnego wyjaśnienia rzeczywistości we wszystkich jej systematach, a więc i w budowie astrofizycznej wszechświata. Zasada ta jest postulatem rozumu: bez niej rzeczywistość sprowadzona jest ad absurdum.

Dla Jeansa wszystko co jest, mogłoby być wynikiem ślepego przypadku. Niezrozumienie przezeń powyższej zasady sprawia, że nie wydaje mu się niedorzecznem powiedzenie Huxley'a, że sześć małp uderzających bezmyślnie w klawisze maszyny do pisania przez miljony miljonów lat, z konieczności napisałoby wszystkie dzieła, jakie znajdują się w British Muzeum. Ten słaby punkt światopoglądu Jeansa rzuca się w oczy nietylko wykształconym filozoficznie czytelnikom, ale i tym wszystkim, dla których wyrocznią jest zwykły zdrowy rozsądek.

Ponieważ książki Jeansa znalazły w Polsce wielu czytelników i treść ich przenika do świadomości ogółu, nie jest obojętnem co piszą o nich kompetentni, ludzie z których zdaniem liczy się opinja publiczna. Dlatego cytujemy poniżej dwa głosy krytyczne, pobieżne wprawdzie, ale bardzo charakterystyczne. Warto zestawić je razem, by na tle ostrożnej powagi jednego, wystąpiło nonszalanckie nieuctwo drugiego z nich.

W Nr. 2 czasopisma astronomicznego „Uranja" ukazało się sprawozdanie astronoma Obserwatorjum Warszawskiego dr. L. Orkisza (którego imię — przez odkrycie komety — zapisało się na firmamencie niebieskim) z przetłumaczonego przez dr. Wł. Kapuścińskiego dzieła Jeansa pt. „Wszechświat" (dosłowny przekład tytułu angielskiego tego dzieła — „The Universe around us" — brzmiałby: „Wszechświat wokół nas"). Oto wyjątki z tej — zdaniem naszem — bardzo trafnej oceny. Wyrażając uznanie dla wiedzy i talentu autora dr. Orkisz pisze m. in.:

„Przy omawianiu wielkich zagadnień przyrody — od mikrokosmosu do makrokosmosu — poprzez wizję wszystkich czasów, autor często odstępuje od roli sprawozdawcy, opisującego zjawiska, i tu i ówdzie dorzuci parę uwag natury filozoficznej, jak o tem nadmienia również tłumacz w swem słowie wstępnem. Należy tu zająć krytyczne stanowisko względem pewnych uwag autora, które to uwagi, a raczej zarzuty jednak są niesłuszne i niezręczne i zbyt pochopnie wyprowadzone".

A dalej:

„Osobny ustęp wtajemnicza nas w problem stworzenia materji: „W nieznany jakiś sposób, materja nieistniejąca przedtem, pojawiła się w świecie bytu". Dwie koncepcje przytacza autor; pierwsza jest naturalistyczna: wyobrażamy sobie mianowicie, że „w próżną przestrzeń wlały się strumienie energji promienistej", przyczem konkretnem uzmysłowieniem samego aktu stworzenia byłby „palec Boży, poruszający eter kosmiczny". Druga koncepcja wychodząca z założenia, iż czas, przestrzeń i materję rozważać należy jako jeden układ nierozdzielny, ujmuje stworzenie materji na gruncie metafizycznym, odpowiadającym również nowoczesnej teorji względności. I tu znajdujemy się „bardzo blisko tych systemów filozoficznych, które uważają wszechświat za myśl istniejącą w duchu Bożym".

Drugą z koleji recenzję, albo raczej notatkę bibljograficzną o dziele Jeansa zamieścił w „Wiadomościach Literackich" Nr. 29 p. Bruno Winawer. Z tych dziwnie mętnych i beztreściwych wywodów cytujemy ustępy najbardziej charakterystyczne, jako objaw t. zw. „pływologji" (źródłosłów: pływać, a nie wpływy).

„Tłumaczymy teraz np. jedną po drugiej świetne książki wielkiego Jeansa. Znakomity astrofizyk pisze cudownie, jasno, rzuca wspaniałe obrazy poetyckie — maluczko, a nawet najbardziej zakute pały zrozumieją czem jest „wszechświat wokoło nas" (tak jakby rozumiał to p. Winawer — przyp. nasz), zrozumieją, że glob ziemski jest najmniejszem ziarenkiem piasku w bezkresnym oceanie, a cała „biosfera" przypadkową, przeraźliwie cienką warstewką pleśni na tem ziarnku... Przykład drugi, trochę bliższy. Życzliwi a uważni czytelnicy moich artykułów domyślili się dawno, że zarówno mnie, jak i ludzi, na których się powołuję, stary Grek Sokrates tyle obchodzi, co jego kolega Protagoras, a obaj razem mniej, niż zeszłoroczny śnieg. Chodzi o inne ciekawsze sprawy. O to, że zdumiewająco ruchliwy front bojowy nauk ścisłych przeleciał nagle ponad głową dawnego głosiciela prawd, stworzył nowe dowództwo, pozostawił filozofji jakąś mniej ważną „służbę na tyłach", zamienił ją — przepraszam za porównanie militarne — na skromną „kategorję D"...

P. Winawer szarżuje dalej na metafizykę:

„Otrzymałem niedawno bardzo rozsądną rozprawkę filozoficzną z Poznania. Autor, p. Adam Wiegner, zastanawia się nad „indeterminizmem" i ma na myśli „„epistemologję" (tak w Poznaniu — dla uniknięcia nieporozumień — nazywają teorję poznania). Mniejsza o trudne słowo: cała broszurka roi się od cytat z Bohra, Plancka, Schrödingera, z czasopisma „Naturwissenschaften" i zaczyna się od zdania: „Teorja Einsteina pozbawiła spekulacje metafizyczne, dotyczące przestrzeni i czasu, wszelkiej wartości naukowej".

Po przeczytaniu tego zdania p. Winawer napewno nie posiadał się z uciechy.

Gdy się przeczyta dwie cytowane powyżej recenzje, trudno powziąć o drugiej z nich pochlebne mniemanie. Po nierzeczowych, efekciarskich zachwytach nad Jeansem (przypominających słynne jego „Schlagworty" w rodzaju: „Jeans i Millikan przerzucają się kosmosami"), przechodzi on do ataku na filozofję, o której niestety niema najmniejszego pojęcia — jak to słusznie demaskował Witkiewicz. Szkoda, że ten biedny człowiek nie poradził się swego mistrza Jeansa; tenby go może umitygował, pokazując mu palcem swoje własne zdanie: „Rozpowszechniło się szeroko przeświadczenie, że nowe zdobycze astronomji i fizyki mają wywołać olbrzymi przewrót w poglądach zarówno na wszechświat jako całość, jak i na znaczenie życia ludzkiego. Ostateczny wynik zagadnienia należy, oczywiście, przedewszystkiem do dziedziny filozofji". Tenże sam Jeans — jak to podkreśla dr. Orkisz w swej recenzji — przytaczając koncepcje o stworzeniu materji, nie rzuca się wcale tak bezapelacyjnie w ramiona teorji względności.

Gdy się przyjrzy uważnie wywodom p Winawera, dochodzi się do przekonania, że wokół tego pseudo - sawanta zrobiono zbyt wiele hałasu. Jego artykuły „naukowe" są miłą, bezpretensjonalną paplaniną, w sam raz dla magazynu tygodniowego, czytanego przez subjektów sklepowych i manicurzystki. W zakresie filozofji brak mu podstawowych, szkolnych wiadomości a świadomość jego, czysto empiryczna, nie sięga nietylko do sfery transcendencji, ale i do prostego krytycyzmu filozoficznego.

P. Winawer nietęgi jest nawet w logice. Pisze np., że znakomity astrofizyk rzuca wspaniałe obrazy, dzięki, którym nareszcie zrozumiemy, czem jest wszechświat wokoło nas, a czem cienka warstewka „biosfery"; przeoczył biedak, że ów astrofizyk stanowi sam cząstkę owej marnej, żałosnej biosfery, i nie zasługuje chyba wobec tego na zachwyt i bezgraniczne zaufanie, jakie ma p. Winawer dla prawd przezeń głoszonych. Nie jest widocznie tak nędzną ta pleśń, skoro dzięki niej wszechświat astrofizyczny dochodzi do poznania samego siebie. Trzeba tylko oceniać jej rolę nie w planie materji, gdzie oczywiście góra gliny zawsze będzie większa, niż mały mózg ludzki, ale w planie myśli, bez której pojęcia małości i wielkości nie miałyby żadnego sensu.

Z przykrością dodajemy, że p. Winawer zdradza w swej recenzji przerażające nieuctwo: epistemologją (albo gnozeologją) nazywa się teorję poznania nietylko w Poznaniu, ale na całym świecie.

Co do czytelników artykułów p. Winawera, to wydaje nam się niebeznadziejnem powiedzieć niektórym z nich, że „niebo gwiaździste nad nami i prawo moralne w nas", do badań nad którymi nawoływał uczeń i wielbiciel starego Greka, pozostają nadal przedmiotem równie godnym rozmyślań wszystkich rozumnych mieszkańców naszej prowincjonalnej spleśniałej planety — Ziemi

Kronika lubelska

W łonie Zarządu Związku Literatów w Lublinie zaszły zmiany w postaci przesunięcia funkcyj. Wobec zrzeczenia się przez p. Czechowicza prezesury na rzecz p. Arnsztajnowej skład i podział funkcyj w zarządzie przedstawia się następująco: p. Arnsztajnowa Fr. — prezes, p. Czechowicz J. — wiceprezes, p. Gralewski W. — skarbnik, p. Madej A. — sekretarz.

Związek Literatów w Lublinie przygotowuje wielką akademję żałobną ku czci Stanisława Wyspiańskiego. Akademja odbędzie się prawdopodobnie w sam dzień 25-lecia zgonu Wieszcza. Na program złożą się: przemówienie, fragmenty z dzieł Wyspiańskiego, oraz utwory poświęcone pamięci autora „Legjonu".

We wrześniu roku bieżącego wyjdą z druku poezje Fr. Arnsztajnowej. Pierwszy po wieloletniej przerwie tom poetki obejmie wybrane utwory niedrukowane (nowe), oraz częściowo utwory dawniejsze, dotąd rozrzucone po czasopismach artystycznych jak „Wież", „Sfinks", „Ateneum", „Chimera", etc. Prócz tego w tomie znajdzie się kilka przekładów, oraz poemat pt. „Duszki".

Wydany w nakładzie stu egzemplarzy dla znajomych i przyjaciół tom wierszy J. Łobodowskiego pt. „W przeddzień" został skonfiskowany w ubiegłym miesiącu, jednak sąd uchylił konfiskatę. Natomiast konfiskata książki tegoż autora pt. „O czerwonej krwi" została utrzymana w mocy i poeta zostanie pociągnięty do odpowiedzialności.

W najbliższych tygodniach ukażą się na półkach księgarskich przekłady J. Czechowicza z poezji rosyjskiej. Książka obejmie około trzydziestu wierszy Aleksandra Błoka, Sergieja Jesienina, Michała Kuźmina, Michała Lermontowa, Ilji Erenburga, oraz zmarłego niedawno Maksymiljana Wołoszyna.

Jako osobna publikacja wyjdą z druku przekłady (tegoż tłomacza) utworów poetyckich wierszem i prozą Pawła Tyczyny, czołowego poety współczesnej Ukrainy.

„Zmierzch Fetyszów" (Warszawski obóz poetów Skamandra pod skalpelem). Pod tym tytułem wydał ostatnio Bogdan Karpacki, broszurę omawiającą znaczenie Skamandra dla literatury polskiej i jego dzieje.

Żona Lloyda George'a, Małgorzata opracowuje obecnie pamiętniki z czasów Wielkiej Wojny.

Tom trzeci listów Marcela Prousta ukazał się ostatnio w Paryżu. Tom ten zawiera korespondencję z ostatnich lat życia tego pisarza.

Dwie rocznice. Z końcem roku bież. przypada 400-setna rocznica ukazania się „Pantagruela". Paryska „Bibliotheque Nationale" organizuje z tej okazji wystawę książek i dokumentów dotyczących F. Rabelais'go.

W roku przyszłym zaś upływa 400 lat od śmierci Ludwika Ariosta. Włochy przygotowują się już teraz do uroczystych obchodów. Program przewiduje wystawę rzadkich i cennych wydań dzieł autora „Rolanda Szalonego", oraz zbiorowe wydanie jego komedyj.

Odpowiedzi redakcji

J. Poch. Kraków. Byłem w lipcu u Pana i naturalnie nie zastałem Go. (kartka, za którą dziękuję, wyjaśniła mi — dlaczego). Możliwe, że będę w Krakowie jeszcze przed zimą — to się spotkamy. Serdeczne pozdrowienia!

Zygm. Jan T. Katowice. Książki Pańskiej dotąd nie otrzymałem. Proszę uprzejmie zaurgować w wydawnictwie. Dziękuję za miłe słowa.

Autorowi „Uroczyska". Niestety z wierszy skorzystać nie możemy, są jeszcze bardzo słabe. Trzeba pracować wiele — i to nietylko nad formą wypowiedzi. Starać się być samodzielnym nietylko w sposobie wypowiadania, ale i w tem, co się mówi.

M. W. Sambor. Bardzo dziękuję za tak serdeczny list! (Dostałem go w Warszawie z opóźnieniem — przeadresowany). Cała historja wyniknęła z powodu zmiany adresu (Chmielna 68 m. 37). Rękopis otrzymałem, przeczytałem, sama koncepcja b. interesująca. Napiszę obszerny list w najbliższych dniach, jestem bowiem jeszcze po powrocie b. zapracowany. Prenumeratę najlepiej wpłacać na konto PKO. Serdeczne pozdrowienia!

Alfred Gerard L. Śląsk. Z artykułu niestety nie skorzystamy, bo jak Pan zapewne zauważył, umieściliśmy w tej sprawie „Ostrzeżenie" samego Witkiewicza, oraz omawiamy pokrewną sprawę w nrze bieżącym. Posyłamy więc rękopis do „Gazety Literackiej".

Kronika

Komitet uwiecznienia pamięci Adama Mickiewicza w Ziemi Nowogródzkiej po obchodzie „Dni Mickiewiczowskich" i założeniu muzeum pamiątek, wydał kompletny zbiór wszystkich utworów poetyckich Mickiewicza z wstępem i objaśnieniami prof. T. Piniego.

Program dni szopenowskich. Uroczystości ku czci Chopina trwać będą od 10—17 października. W czasie ich trwania Komitet gromadzić będzie fundusze na odbudowanie Żelazowej Woli, sprowadzenie prochów Chopina do kraju i budowę schroniska weteranów muzyki polskiej. Program Dni przewiduje m. in. serję koncertów wszystkich utworów szopenowskich w porządku chronologicznym (żywe wydanie dzieł Chopina) oraz akademję uroczystą w rocznicę śmierci Chopina, przypadającą 17 października.

Książka o Norwidzie. Zygmunt Falkowski, młody badacz literatury wydał książkę pt. „Rzecz o tragiźmie Kleopatry", omawiającą i badającą systematycznie elementy tragizmu w twórczości Norwida.

Książka Napoleona na licytacji. W Kacinie w Czechosłowacji odbędzie się licytacja Bibljoteki należącej do hr. Thun-Hohensteina. Na licytacji tej ma być sprzedana m. in. książka Napoleona opisująca jego ekspedycję do Egiptu. Wspomnienia z tej wyprawy kazał Napoleon wydrukować w 10-ciu egzemplarzach, z których zachowały się tylko trzy: w Luwrze, w londyńskiej bibljotece królewskiej i w Kacinie.

Zdrada clerków

J. N. MILLER O „WIAD. LIT."

W „Robotniku" rozwinęła się ostatnio dyskusja na temat „Wiadomości Literackich" i roli, jaką spełniało to pismo w życiu literackiem Polski wczoraj — a jaką dzisiaj. Dyskusję tę wywołał cięty i bezpardonowy artykuł Jana Nepomucena Millera (w numerach z dn. 2 i 3 września b. r.). Miller przyznaje, że „Wiadomości Literackie" mają poważne zasługi w naszem życiu kulturalnem, przyczyniły się bowiem wydatnie do zainteresowania literaturą szerokich kół inteligencji: z tego względu można im nawet darować monopolizowanie wpływów i zaszczytów, oraz jawne faworytowanie ludzi, nastawień i kierunków wygodnych dla polityki literackiej „Skamandra"... Teraz jednak, w obliczu dekadencji i rozkładu wewnętrznego tej grupy i jej organu, przyszedł czas rozrachunku i przypomnienia wszystkich starych i nowych grzechów.

Miller stwierdza, że wpływy „Wiadomości Literackich" były przez długi czas tak potężne, że w Warszawie „jak za czasów Koźmianów i Osińskich, rozparła się wszechwładna — zakłamana, lecz czynna i mściwa jednolita opinja, od redakcyj do urzędów, od „Astorji" do „Cyrulika", od „Qui pro quo" do wszystkich „postępowo-radykalnych" „kurjerków".

Póki jednak „Wiadomości" spełniały jako tako swą rolę pisma literacko-informacyjnego, opinja intelektualna milczała i znosiła cierpliwie różne wybryki. Od niedawna sytuacja uległa jednak zmianie.

„Od dwóch lat jesteśmy świadkami pouczającego widowiska, jak cały „balast" poważnie i rzeczowo traktowanych dotąd zagadnień literackich ustąpił miejsca w „Wiadomościach" kapryśnym wzlotom stylu „Zielonego Balonika".

„Dobre jest to, co może stać się materjałem do kawału, dowcipu, pikantnej aluzji lub drastycznej sensacji. Literat, myśliciel staje się „ciekawy" ze względu na ilość przygód erotycznych lub oryginalność swego zboczenia płciowego".

Miller zauważa słusznie, że „trudno bez najwyższego niesmaku i obrzydzenia czytać te „rewelacje", ciekawe już tylko dla badaczy zboczeń i dywagacyj życia płciowego". „Włączenie tych kwestyj do kategorji „literackich" byłoby grubem nieporozumieniem, gdyby nie było „Tajnego detektywa", który powinien wytoczyć „Wiadomościom" sprawę o odszkodowanie".

O walce podjętej przez Boya o prawa kobiety pisze m. in.:

„Choć sama kwestja jest zasadniczo słuszna, wysunięcie jej programowe pokrywa i osłania właściwy obraz globowej walki społecznej, której krzywda kobieca jest słabiutkiem odbiciem".

Stwierdza dalej „że teraźniejsze oblicze „Wiadomości" w niczem nie odpowiada zadaniom pisma społeczno-literackiego, którem przed laty było że przeto pismo nieprawnie żeruje na kredyt swojej firmy, która jest obecnie wekslem bez pokrycia". Że wobec „zdrady klerków" „wiadomostkowych", jawnego szkodnictwa kulturalnego, ukrytego pod pretensjonalnemi pozorami, które mogą zaimponować chyba jeszcze damom z „Adrji" i „Europy", polującym na pikantne tematy do rozmowy, zachodzi nieodzowna potrzeba stworzenia nowego „pisma literackiego".

„Są u nas ludzie, którzy oddawna mają dosyć tej dyktatury businessu nad intelektem, którzy na tajnych konwentyklach wiedzą o wszystkiem i osądzają wszystko. Niechże wytworzy się jakaś jawna opinja i oczyści tę atmosferę, pełną kocich zapachów i kociego kwiku".

Ostre słowa Millera tną, jak brzytwa, aż do bólu, sumienie intelektualne społeczeństwa polskiego. Czy jednak tchórzostwo i wygodnictwo nie zatriumfuje u tych, do których odwagi cywilnej odwołuje się ten sumienny pisarz i krytyk, dający przykład bezpardonowej prostolinijności. Oby apel jego odniósł skutek, oby powstała ta „jawna opinja". Nie piszemy tego „pro domo suo", wiemy bowiem, że wielu ludziom nie odpowiada nasza postawa ideologiczna; pragniemy tylko, by życie duchowe i kulturalne Polski otrząsnęło się jak najrychlej z tej śpiączki, w jaką pogrążyła je supremacja żywiołów i indywiduów, niedorosłych do przywłaszczonej sobie roli.

„Może literatura nasza — kończy Miller — tak przeraźliwie nudna, uboga i zabita całkowicie przez najpodlejsze przekłady najgłupszych nawet pisarzy obcych — mogłaby zmienić swe starcze oblicze lubieżnego fauna, gdyby miała możność zaświadczenia o sobie niezależnie od linij kierunkowych prywatnych impresarjów literackich?".

W n-rze z dn. 9 września zabiera głos na powyższy temat znany powieściopisarz Jerzy Bandrowski, wypowiadając się o „Wiadomościach" nieco pobłażliwiej. Cytuje naprzód żale literatów:

„Dziś jednak literaci są naprawdę z „Wiadomości Literackich" niezadowoleni. Przedewszystkiem dlatego, że one dają im zamało materjału literackiego, po drugie, że ten materjał jest nieprzyjemnie spreparowany i podany, po trzecie, że w „Wiad. Lit." piszą do znudzenia wciąż ci sami ludzie, znani aż nadto dobrze, a à la longue wcale znów nie tak ciekawi, jakby im się zdawało"...

Przeciw sensacyjnym tematom Bandrowski nie występuje: „lubię takie „michały" — powiada — zwłaszcza dobrze napisane, byle bez zbytniej blagi"...

Zdaniem Bandrowskiego, żale literatów są słuszne, ale pretensje ich do „Wiadomości" są bezpodstawne. Pismo to jest przecież własnością prywatną, a zarazem organem pewnej koterji i ma prawo robić co mu się podoba, choćby nawet zechciało zarabiać drukowaniem jeszcze większych „michałów": służyło ono bądźcobądź przez długi czas literaturze w „zrozumieniu, że literatura to sprawa która może zająć i ożywić społeczeństwo polskie", a wykazało spryt, energję i żywotność w swojej walce „reklamowej czy reklamiarskiej". (Ta pochwała sprytu, żywotności i reklamy jest — nawiasem mówiąc — wielce charakterystyczną dla filozofji życiowej jakiej uczy ludzi, choćby najsolidniejszych, Warszawa).

Jedno tylko irytuje Bandrowskiego: to mianowicie, że „Wiadomości", pismo koteryjne, reprezentują wyłącznie literaturę polską wobec zagranicy. Co do nas, to musimy wyznać, że „irytuje nas" w „Wiadomościach" znacznie więcej rzeczy, niż jego.

Wielka wystawa dzieł Kotsisa. Z inicjatywy redakcji „Głosu Plastyków" urządza Muzeum Narodowe w Krakowie w jesieni br. wielką wystawę dzieł Al. Kotsisa. Komitet rozpoczął już prace przygotowawcze.

Muzeum gazetowe w Londynie. Brytyjskie Muzeum w Londynie, aby zapobiec coraz większemu brakowi pomieszczenia dla książek wpływających ustawicznie, przeniosło kolekcję gazet do osobnego gmachu, tworząc w ten sposób największe na świecie muzeum gazetowe. Ogromny ten gmach, zbudowany kosztem 640.000 funtów szterlingów, mieści wszystkie pisma, które dotychczas znajdowały się w British - Muzeum, a których liczba wynosi 275.000 tomów. Przytem są tam roczniki pism zarówno angielskich, jak i zagranicznych, począwszy od r. 1800.

Nad historją wielkiej wojny 1914 — 18, pracują już od lat czternastu oficerowie generalnego sztabu w Londynie. Dotychczas ukazało się 9 tomów tego dzieła. Praca ma potrwać jeszcze do r. 1950.

Książki i czasopisma

Marza Ostrawicka: Uśmiech Tatr. Cykl fragmentów powieściowych na tle zdarzeń prawdziwych. Z przedmową Anny Skarbek. Warszawa 1932. Skł. gł. Gebethner i Wolff. str. 126.

Jan Bełcikowski: O Instytut Pracy Państwowej. Na drodze przewrotu umysłowego w Polsce. Warszawa 1932. Bibljoteka Rewolucji Pedagogicznej. Skł. gł. Dom Książki Polskiej. Str. 15.

Głos Plastyków (miesięcznik ilustr. poświęcony sztukom plastycznym) nr. 5 — 6 rok II zawiera nast. artykuły: Tytusa Czyżewskiego: O potrzebie metody w malarstwie: St. Szczepańskiego: Wizja natury i wizja malarska; Eug. Gepperta: O poglądach na nasze malarstwo; oraz obfitą kronikę i szereg reprodukcyj dzieł artystów obcych i polskich.

Wici Wielkopolskie (miesięcznik poświęcony sztuce i kulturze) lipiec i sierpień 1932 zawiera m. in. następujące artykuły: A. Fils: Zmierzch ziemiańskiej szlachetczyzny: M. Turwid: Kraków Michała Rusinka i Współczesna grafika poznańska.

Anna Jiraskova-Peskova: Hlubiny a Vyse. W Praze 1932. Ladislav Kuncir. Str. 116.

Artur Prędski: Ciąg dalszy Powieść. Warszawa 1932. Nakl. F. Hoesicka. Str. 206.

Jan Szczawiej: Gałąź czeremchy. Poezje Nakł. F. Hoesicka. Warszawa 1932. Str. 28.

Dr. Ignacy Schiper: Żydzi Królestwa Polskiego w dobie powstania listopadowego. Warszawa 1932. F. Hoesick. Str. 217.

Leon Litwiński: Kryzys teorji kryzysów Warszawa 1932. Nakł. F. Hoesicka. Str. 32.

Marek Turkow: Gdańsk na wulkanie Warszawa 1932. Skł. gł. Księg. F. Hoesicka Str. 54.

Wanda Brzeska: Mitropa. Poezje z włóczęgi. Poznań 1932. Księg. Nakł. Jana Kuglina. Str. 83.

Memorjał Króla Stanisława Leszczyńskiego o zabezpieczeniu pokoju powszechnego (Memorial de l'Affermissement de la Paix Generale) Wydał i wstępem opatrzył Jerzy Życki. Przedmowa Augusta Zaleskiego Ministra Spraw Zagranicznych. Warszawa 1932. Skł. gł. Księg. F. Hoesicka. str. 54.

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Inżynierska 7 m. 30. Tel. 10-20-58. Konto P. K. O. 153.210.
Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.